



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGAWĘDKA.

Zima trzyma się krzepko, ani jednego dnia odwilży nie mieliśmy, odkąd mróz chwycił i śnieg pobielił ziemię; przepowiadano wprawdzie, że „Boże narodzenie będzie po wodzie“, ale przepowiedniom trudno dziś wierzyć.

Przepowiadano np., że sprawców przerażającej zbrodni pod Łowiczem, Pawlaka i Wyrostkiewicza, złowi napewno ręka sprawiedliwości, że długo ukrywać się nie zdołają; jednak dotychczas oprócz ich powiernika Baczynskiego, który im w swojej kolonii dał schronienie w ową straszna noc, oprócz połowy zrabowanej summy, nie udało się odszukać morderców, ani śladów ich ucieczki.

Po okrutnej zbrodni na kolei bydgoskiej mieliśmy kilka śmiałych kradzieży z włamaniem; do księgarni Gebethnera i Wolffa dostali się złodzieje, powyrywawszy zamki, porozbijawszy biorka, z których około 1.700 rs. gotówki i kilkanaście kosztownych książek do nabożeństwa zabrali.

W kilka dni później inni łotrzykowie wybili dziurę w ścianie z pustego lokalu, który sąsiaduje z „Magazynem francuzkim“ w gmachu starej poczty na pierwszym piętrze i, nabrawszy paltołów, garniturów męzkich, całych błamów sukna na sumę tysiąca kilkuset rubli, umknęli z tem nie wiadomo jak i dokąd.

W zeszłym tygodniu znów z kantoru nafty pod firmą „Lux“ przy ulicy Erywańskiej skradziono całą kasę wertheimowską z zamkniętymi w niej pieniędzmi i weksłami.

Kiedy się zważy, że trzy te sensacyjne kradzieże zdarzyły się przy ulicach pryncypalnych śródmieścia, prawie pod okiem lokatorów, przechod-

niów, stróżów bezpieczeństwa i stróżów nocnych, człowiek mimowoli jakimś instynktowym ruchem chwytą się za kieszeń i namyśla nad tem: czy nie należałoby sypiać nierozebrany, z rewolwerem w każdej ręce pomiędzy dwoma czujnymi brytanami, trzymając pod poduszką wszystkie swoje walory i kosztowności?

W gmachu samej policji popełniono okrutne morderstwo zeszłego piątku w nocy; schwytyany złodziej pobytowy, podczas rewizyi pchnął nożem jednego z agentów w brzuch i wypruł mu jelita, drugiego ciężko poranił w głowę, kark i plecy, potem umknął, zawołał przed bramą ratuszową dorożkę dwukonną i kazał się zawieść do szynku na ulicę Czerniakowską, gdzie go powtórnie pijącego najspokojniej wódkę aresztowano i pomimo oporu odstawiono do więzienia, jako mordercę.

Jest nim niejaki Zdanowicz, liczący dopiero lat dwadzieścia dwa wieku, z zawodu wykwalifikowany złodziej.

Wogóle ostatnimi czasy zwiększyła się szajka opryszków i rzezimieszków, dybiących na cudze mienie i życie, brojących coraz śmieiej i czelniej; pod tym względem Warszawa staje na równi z wielkimi miastami zagranicą, których kronika kryminalna notuje codziennie niemal jakiś sensacyjny wypadek moralnego zwyrodnienia i rozkiełzanych namiętności.

Nie mielibyśmy z czego być dumni, gdyby to miało stanowić przeważający objaw wzrostu syreniego grodu; im większy kocioł tem większy osad i szumowiny się w nim tworzą, ale z tem większą gorliwością należy je usuwać.

Typ Jana Valjean, który kradnie z głodu i nędzy, wyradza się w naszych czasach; inne podobki, gorsze i niebezpieczniejsze wytwarzają tę sromotną klasę, w której popełnia się zło dla złego, w której się kradzież, morderstwa, grabieże niemal zawodowo traktuje, jako bardziej ryzy-

kowe, ale i zyskowniejsze, rzemiosło od każdego innego.

Nie tylko sam brak pracy i zajęcia, ale i wstręt do niej, ale jakiś pociąg do występku, do zepsucia, do bezprawia wykołaja dziś ludzi z drogi prostej i buntuje ich przeciw przykazaniom boskim i ludzkim.

Ten chleb bez trudu, chleb cudzy, nie własny, chleb wydarty, nie zapracowany w pocie czoła, wodzi na pokuszenia i do wszystkiego złego nakłania.

Szlachetną rzeczą jest filantropia, która stara się nędzę usuwać, ubóstwu pomagać, biedę wspierać, ale ważniejsze zadanie byłoby w drugiej połowie celów filantropijnych, w umoralnianiu tych warstw, które od dzieciństwa psują się, wypaczają, przesiąkają złem, wychowują się na przykładach gorszących, wyrastają bez Boga, bez miłości ludzi, bez poszanowania cudzej własności.

W tym kierunku należałoby większą rozwinąć działalność i taka filantropia uratowałaby społeczeństwu wiele dusz zbłąkanych, uchroniłaby je od szkód, które dziś ponosi.

U nas rozdaje się chleb, nie bardzo wnikając w to, kogo się nim karmi, nie bardzo dbając o to, aby ten dar miłosierdzia był pokarmem zarówno dla duszy pożywnym, jak dla ciała.

Po wprawdzie i tego materialnego zasiłku nie wiele mamy do rozdania; wykazywałem już swego czasu na przykładach, iż nasza dobroczynność jest przereklamowaną; nam się wydaje, że dużo dobrego robimy dlatego, iż od czasu do czasu jakaś jednostka społeczna wysunie się po nad cały ogół i zabyśnie większą ofiarą, ale ten ogół sam trzyma się zdaleka i pozwala innym za siebie wypełniać cnotę miłosierdzia, nie rozumie znaczenia i siły drobnej ofiarności, nie poczuwa się do solidarnego obowiązku względem bliźnich w nieszczęściu i niedoli.

Bankier X. lub kapitalista Y. da sto rubli na wpisy, utworzy fundacyą swego imienia, zbuduje

zakład lub przytułek, a nam się zdaje, że to my, my ogół z własnej kieszeni zrobiliśmy więc wydatek i powiadamy sobie z dumą:

— O jacyśmy filantropi... o, jak ta Warszawa dużo dobrego świadczy!

Nie prawda, ta Warszawa pozwala swoim wyjątkowym mieszkańcom być filantropami, a prawa do opinii przez nich wytwarzanej nie okupuje nawet po groszu od głowy.

Statystyka zbiorowych składek dobrowolnych i statystyka fundacji dobroczynnych wykazałaby jak małe są zasługi owego *tout Varsovie*, które sobie przywłaszcza tytuł damy dobroczynności.

Od czasu do czasu ta filantropka nadwiślańska daje się skokietować, naciągnąć, zwabić na gapia pójdzie na koncert dobroczynny, na żywe obrazy, na „gwiazdkę“ albo „bazar“ i znowu jej się wydaje, że zrobiła wielką ofiarę, bo kupiła bilet i usłyszała dobrego artystę, zobaczyła słynną artystkę, zabawiła się i przyjemnie spędziła kilka godzin na poranku lub wieczorem muzykalno-dramatycznym, na raucie lub na koncercie.

Prawda, tej idealnej filantropii, cnoty dla cnoty, miłosierdzia dla moralnej nagrody i zadowolenia od szerokiego tłumów nigdzie wymagać nie można; trzeba im coś dać za to wzamian, trzeba je zachęcić, poruszyć, przyciągnąć do owej dużej skarby publicznej.

Pod tym względem znowuż tyle razy się już wspominało, że pomysłowość naszych ministrów filantropii bywa bardzo a bardzo ograniczoną i szablonową.

Ostatni przykład mieliśmy w „gwiazdce“, urządzonej przez Towarzystwo Dobroczynności w salach ratuszowych. Niezaprzeczenie, może to być zajmująca zabawa dla uproszonych pań, a niezły interes dla kupców dostarczających towarów, ale dla publiczności przestało to być nowością, i nie jest wabikiem dla tłumów.

Ileokroć odstępowano od szablonu (kiermasz, wystawa kucharska, wystawa starożytności), zwiększało się publiczne zainteresowanie a z nią i dochody instytucji.

To powinny być dobrą wskazówką, tylko, że jej dobroczynni zachowawcy nie chcą jakoś uwzględnić i co roku z wytrwałością pocziwych Jowialskich wracają do tejsamej bajeczki.

A publiczność szuka sobie innych zabaw i wrażeń. W ostatnich czasach muzyka ją zajmowała najbardziej. Przyjechał Reisenauer, o którego krytyka nasza rozpadła się na dwa wojownicze obozy i kiedy jedni wołali: „geniusz“, na cześć jego, drudzy z żółciowym grymasem sykali: „kulgarz!“. Mimo to niepospolity pianista porwał swoich słuchaczy siłą talentu i indywidualności niezwykle, pozostawiając niezatarte wrażenie gry swojej, czem wielu głośno chwalonych i prezentowanych wirtuozów u nas poszczycić się nie może.

Jednocześnie z Reisenauerem zjechała do Warszawy Lucca, która do historii opery dołączyć może ilustracją z historii dyplomacji, mianowicie swoją fotografią w towarzystwie ks. Bismarcka z owych lat, kiedy nie potrzebowała jako śpiewaczka i kobieta dyplomatycznie zyskiwać sobie względów publiczności, krytyki i wielbicieli wdzięków niewieścich.

Dzisiaj artystka jest wspaniałą ruiną, wybornie jeszcze zachowaną, za której podziwianie zbyt drogo każe opłacać bilety wejścia.

Z własnym koncertem wystąpił w zeszłym tygodniu Barcewicz i miał nabitą salę ređutową, jakgdyby był nie naszą, swojską, miejscową znakomitością, ale jakimś słynnym zagranicznym skrzypkiem, poprzedzonym fanfara reklamą europejskiej.

I tak być powinien; mało artystów polskich zasługuje ze względu na swój talent, na takie względy jak Barcewicz, który mógłby być skrzypkiem całego świata z obu stron Oceanu i zbijać gruby grosz, a jednak woli być tylko solistą orkiestry operowej i professorem konserwatorium w Warszawie.

Trudno było przypuszczać, że kiedyś opera nasza stanie się zależną od termometru i od 5° mrozu; biedaczka, przypomina mi dzisiaj elegantkę bez futra, która nie może wyjść na ulicę, gdy tylko zimniej się zrobi.

W swoim drewnianym pałacu dygocze i dzwoni zębami, więc tylko o ile aura pozwala, przyjmuje wieczorami.

Warszawa jedna w całym świecie posiada w Grudniu swój letni teatr. Ale cóż zrobić, skoro się tak fatalnie złożyło, że przebudowa teatru Wielkiego pomimo pośpiechu, nie może być wcześniej jak przed Lutym, a może dopiero w Marcu wykończoną.

Na tak niafortunną porę trafiła też francuzka śpiewaczka, pół-krewi polskiej podobno, panna Klara Cordier, której gościnne występy na naszej scenie pozostawić mogą jako *souvenir de Varsovie* odmrożony nosok lub paluszki.

A szkoda, bo paryżka primadonna w korzystniejszych warunkach byłaby swoim głosem, talentem, grą i szkołą, przyćmiła wrażenie panny Russel.

Na przekór mrozom przyjeżdża do Warszawy Modrzejewska i nie czekając odbudowania wielkiej sceny, wystąpi dziewięć razy w trzech serjach abonamentowych na deskach Rozmaitości; mam to przekonanie, że gdyby chciała wystąpić w teatrze Letnim podczas mrozów niższej 5°, temperatura podniosłaby się tak wysoko, że w drewnianej budzie byłoby nam za gorąco.

Nie wiem, oile to jest prawdą, ale słyszałem, że repertuar Modrzejewskiej ma się składać z samych sztuk Shakespeare.

Shakespeare w Rozmaitościach, to rzecz niebywała, Shakespear na afiszu to rzecz tak rzadka, że dla nas zagorzałych teatromanów owych dziewięć występów pani Heleny zapowiadają się jak jakieś uroczyste święto Melpomeny.

Karnawał przyszłoroczny, sprowadzony niemal do *minimum* zapustnych przyjemności, bo tylko do nie całych pięciu tygodni — będzie tedy niezwykle ożywiony.

Jeszcze się adwent nie skończył, a już układają listę balów, wieczorów, pohulanek, zabaw rozmaitych, już głoszą kto w *high-life'ie* naszym otworzy swoje salony i przyjmować zamierza na „*jour-fix*ach tanecznych“.

Skoro taka ochota ogarnia ludzi do zabawy, widać że im zaciążyła trochę kieszeń, a ulżyło się w głowie i może to za dobry objaw poczytać należy, albo ja wiem? tylko że z tego nigdy u nas o pomysłowości materialnych interesów wnioskować nie podobna, bo myśmy hołubce wycinać umieli nawet boso i z fantazyj przekrzywiali czapkę, choć pas poszedł do zastawu.

Podobno kruszyneczkę, odrobineczkę poprawiły się warunki ekonomiczne i handlowe, mimo to kupcy i przemysłowcy skarżyć się i utyskiwać nie przestają, a gospodarze rolni zawsze jednakowo ściągają ramionami, z westchnieniem pociągają opuszczone wasy i spluwają za całą odpowiedź na stereotypowe zapytanie:

— No, jak się macie, co tam u was dobrego słyszać?..

W Towarzystwie przemysłu i handlu odbywają pojedyncze sekcye rozmaite pouczające choć w większej części akademickie tylko obrady i rozprawy; otóż na jednym z posiedzeń sekcji rolnej dzięki p. Plewace wprowadzono na porządek dzienny drażliwą a nader ważną sprawę tak zwanej dewastacji majątków ziemskich, obciążonych wierzytelnością Towarzystwa kredytowego. Dużo ona krwi i atramentu napsuła przed kilku laty i dużo żółci poruszyła, ale rozwiązania należytego dotychczas nie znalazła.

Pan Plewako w swoim wykładzie przedstawił przyczyny moralnej i finansowej natury, które zniewalają zachwianego obywatela do niszczenia majątku w ostatkach jego posiadania a w przededniu wywłaszczenia; pieniędzy mu na prowadzenie gospodarstwa prawidłowego brak, pomocy znikąd niema, serwituty mu cięża, lichwa dokuczna, nad karkiem wisi miecz Damoklesa, w postaci grożącej licytacji, prawo nie pozwala oddać majątku wierzycielowi za dobrowolną ugodą, tylko każe sprzedawać go publicznie: cóż ma robić w takich warunkach zrozpaczony szlagon!? — powiada sobie:

— Wzięło lichy krowę, bierz, dyable, i cielę.
Wtedy pustoszy majątek, wyciąga, raczej wyszarpuje z niego te resztki, jakie mu pozostały przed licytacją, i wierzycielom zostawia ruinę.

Choćby się najwięcej argumentów, najwięcej łagodzących okoliczności nagromadziło na obronę takiego postępowania, pozostanie ono zawsze niehonorowem i nieuczciwem, i musi zasługiwać na publiczne potępienie, bo działa rozmyślnie na szkodę wierzycieli i zubożenie bogactwa krajowego.

Na szczęście, to brzydkie zło, które jak pleśń osiada na tarczy ziemiaństwa naszego, nie jest jeszcze tak bardzo rozpowszechnionem. Jeden z najlepszych znawców naszych stosunków ekonomicznych, radca Tadeusz Kowalski w dyskusji nad sprawą dewastacji zaznaczył, że tych rabusiów ziemiaństwa jest u nas jeszcze nie tak wielu, i że stan naszego rolnictwa mimo wszystko nie jest tak złym, jak się o nim przywykło mówić i pisać.

Tego dyabła czarniej się maluje, niż on w rzeczywistości wygląda i tym sposobem podkopuje się opinią i kredyt ziemiaństwa naszego.

Pan Kłobukowski wyjaśnił, że między majątkami wystawionymi na sprzedaż przez Towarzystwo kredytowe ziemskie znajduje się zaledwie 2—3% zdewastowanych.

Co prawda, i to procent brzydki i niezaszczytny dla ogółu tej społecznej klasy, która w najcięższych chwilach i warunkach umiała dotąd zachowywać swą obywatelską godność i poczucie honoru.

Pan Plewako utrzymuje wprawdzie, iż dewastacja majątków jest ściśle związaną ze stanem ogólnych stosunków rolniczych w naszym kraju, które dawno straciły swą tradycyjną świętość, ale najgorsze nawet warunki ani uprawniają ani uniewinniają gospodarstw rabunkowych ze szkodą cudzą, wierzycieli i publicznego dobrobytu.

Nad jednen z panem Plewaką ubolewać można, że ta dawna solidarność ziemiańska, sąsiedzka zgoda i pomoc wzajemna w ciężkiej doli upadają, że sąsiad sąsiada nie poratuje, ani pożyczką, ani w ostateczności nie stanie nawet do licytacji, aby ziemię jego nabyć, a chociażby nie puścić jej za bezcen w cudze ręce.

Zapewne, że to smutne, ale gdy się zważy, iż ten nieuczynny sąsiad najczęściej sam ledwie się na swoim kawałku ziemi utrzymuje, że mu gotówki znaczniejszej zazwyczaj brak, że dosyć kłopotu miewa z własnym gospodarstwem i ciężko mu przychodzi utrzymać je w całości, to znowu trudno się dziwić, iż z tą pomocą tak bardzo nie śpieszy...

O zarobek dziś nie łatwo, chyba gdy się jest... rysownikiem lub nowelistą. Ci panowie mają sposobność uwienczenia sobie czoła laurami i wypchania pugilaresów pieniędzmi i to zaraz w początku przyszłego roku. „Tygodnik ilustrowany“ rozpiisał bowiem konkurs na rysunek z dwiema nagrodami po 150 i 100 rs., redakcyja „Ziarna“ zaś na nowellę.

Pióro i ołówek mają zatem pole do popisu. Nie jest to wprawdzie tak znakomita sposobność do powiększenia sobie rozgłosu i zdobycia mamony, jak np. podróż Sienkiewicza do Zanzibaru, która mu podobno za pięć miesięcy przyniesie 6.000 rs. gotówki tytułem honorarium za „Listy“ do „Słowa“, ale też nie każdemu dano być autorem „Ogniem i Mieczem“.

Przybędzie nam zatem w roku przyszłym nowa i zajmująca książka, która może być w swoim rodzaju doskonałą, gdy się złoży na nią obserwacyja Sienkiewicza, jego poczucie natury, wrażenia i przygody malowniczej podróży i świetny język jednego z najlepszych dzisiejszych stylistów.

Tymczasem tłocznie drukarskie nie próżnują; wyszło zpod nich znowu sporo zajmujących książek, które noszą firmy dwóch najruchliwszych u nas księgarń wydawniczych, Gebethnera i Wolffa i Teodora Paprockiego i Sp.

Przedewszystkiem zanotować mi wypada bardzo oryginalny, świetnie przez autora ilustrowany opis gór tatrzańskich p. t.: „Na przełęcz“. Stanisław Witkiewicz, malarz i literat, stworzył to dzieło dwóch połączonych talentów i na podwójny okłask krytyki i czytelników zasłużył. Zewnętrzna strona wydawnictwa jest przepyszna.

Zagrobowa spuściznę poety i powieściopisarza w kilka lat dopiero po jego śmierci otrzymaliśmy w dwutomowej powieści Stanisława Grudzińskiego p. t. „Zona artysty“; jest to jedna z ostatnich i najlepszych prac jego, po raz pierwszy wydana w książkowej formie.

Belletrystyka zyskała nową, osnutą na doskonałej obserwacji oryginalnego typu powieść Elizy Orzeszkowej p. t. „Jędrza“, zajmującą powieść, Rogosza: „Karyerowicz“, tłumaczenie hygienicznego romansu Mantegazy „Chora miłość (przestroga dla suchotników)“. Dla matek, ojców i wychowawców Edward Lubowski z Ferdynanda Nicolay'a opracował dzieło o „Dzieciach źle wychowanych“, pełne bardzo ciekawych i pożytecznych uwag i wskazówek pedagogicznych.

Nakładem Paprockiego wyszedł zbiór nowel Klemensa Junoszy p. t. „Z zapadłych kątów“; nazwisko wybornego znawcy wsi, małego miasta, obywatelstwa i żydów jest dla książki tej dostatecznym poleceniem. Niebawem wyjdzie ma staraniem autora zbiorowe wydanie jego utworów, które powinno znaleźć wielu nabywców chętnych i czytelników w sferach ziemiańskich zwłaszcza; Wilczyński, Jordan, Junosza i Dygasiński stanowią przecie ulubieńców tej sfery.

Dwie pożyteczne książki z dziedziny pedagogicznej noszą tytuły: „Pierwszy rok nauczania“ przez Pawła Bert'a w tłumaczeniu Boguskiego i Dygasińskiego, co poręcza ścisłość i dokładność przekładu i wartość naukową tego dziełka, i „Tajemnice przyrody“, wiadomości ogólne o świecie jako podręcznik dla nauczających, napisany przez M. Heilperna.

Pierwsza książka przeznaczona jest dla młodzieży, mówi jej o człowieku, zwierzętach, roślinach, kamieniach, łąkach, o fizyce i o chemii; drugą autor napisał dla uczących, ułatwiając im zadanie wszczepiania najważniejszych pojęć z mineralogii, geologii, fizyki i chemii w umysły młodocianych wychowanków.

Pod oryginalnym tytułem w tłumaczeniu pani T. Prażmowskiej wyszedł rozbiór obszerny tego ważnego pytania: „Jak można w małżeństwie nawet znaleźć szczęście?“... Czytajcie młodzi małżonkowie, jeśliście sobie sami na to odpowiedzi nie znaleźli.

Pan F. Wernicki przełożył z angielskiego rozprawę o „Innym świecie, czyli o czwartym wymiarze przestrzeni“; autor A. T. Schofield w krótkości objaśnia, co pod tym czwartym wymiarem rozumieć należy, i dąży tą drogą do podniecenia entuzjazmu umysłów wierzących, do osłabienia materjalizmu skrajnego i do nowego oświeślenia prawd Pisma.

Ach, jeszcze słówko o książce z piękną okładką ilustrowaną, z której szlachetny i myślący profil Alfreda Musset'a na nas spogląda; to wybór tłumaczonych przez pana B. L. poezji autora „Namuony“ i „Spowiedzi dziecięcia wieku“. Przecież nareszcie zdobyliśmy się na taką wiankę, która oddawna powinna była znaleźć miejsce obok przekładów wielkich poetów obcych w naszej literaturze. Przekład Musset'a jest gładki i swobodny, można go czytać z przyjemnością, nawet znając dobrze oryginał.

Na „gwiazdkę“ tedy macie w czem wybierać; dobre książki—to jak światła na choince codziennego życia. Nie skąpcie na nie grosza, bo za to jaśniej w umyśle i sercu wam się zrobi.

Dorocznym zwyczajem podaję wam opłatek przed wigilią jeszcze i życzę tego rozjaśnienia w myślach i uczuciach, tej radości, którą dobra wola w czyn zmieniona daje, i tej dobrej woli, która radość i pokój w nagrodę przynosi.

Weselcie się z dziećmi swemi społem przy choinkach i kolendach świątecznych!...

Quis.

SEN WIGILIJNY.

W małym pokoiku na trzecim piętrze w podwórzu wielkiego miasta siedzi przy biurku późnym już wieczorem student uniwersytetu, jak wykazuje mundur, który ma na sobie. Piękny to chłopak lat może dwudziestu, blondyn z dużymi szafrowymi oczyma, a regularne rysy twarzy mają coś poważnego typu rzymianina, ale nie rzymianin to wcale, bo list otwarty, który leży na biurku, zaczyna się od wyrazów: — Kochany Stachu... Charakter pisma kobiecy, a on patrzy na papier z wyrazem tkliwej przyjemności.

— Poczciwe matczyńskie... szepcze, ale potem zaraz dodaje głośno i żywo, jak gdyby się z czemś w myśli własnej sprzeczał: — Pojadę... Nie będę przemądrzałym jak stary Niemiec i pal'icho examina, rozprawy... pojadę!..

Wstał od biurka. — Trzeba kupić jakąś kolendę Zosi i Broni... monologuje. — Nic drogiego, ale zawsze jakiś gałganek ładny, jakieś cacko... Obędę się w drodze tyle czem, to starczy i na ten wydatek, a dziewczęta tak mnie całować będą... tak się będą cieszyć!..

Wraca do biurka, otwiera szufladę i wydostaje nieduży pugilaresik, liczy zawarte w nim papierki i woła wesoło: — Pojadę!..

— Mądry jesteś, Stachu, żeś nie wydał nic na żadne głupstwo i teraz pojedziesz do domu—do matki, do sióstr... dodaje z zadowoleniem!

— A czy to tylko do nich, do tych moich kochanych, do tych pocziwych?... Pojadę do swego gniazda, do swoich stron... nieba, ziemi, powietrza tamtejszego!..

Zapalił się... przegarnia jasne włosy i chodzi żywo po maleńkiej izdebce. — A stary sad... szepcze—staralipa w podwórzu, dwór z okapem... A właśnie księżyc świeci i niechże przyprószy to śnieg, — co za obrazek... co za śliczność!..

Poeta jest — poeta przez młodość i uczucie, ale niemniej wraca do biurka i przelicza jeszcze raz pieniądze. — Z ostatniej stacy kolei ruszę piechotą — mówi. — Pyszny spacer przez las, pomaszkuje jak pan żołnierz z tornistrem na plecach!..

— Idzie żołnierz borem, lasem, przyspiewując sobie czasem... nuci, a w tej chwili ktoś zapukał do drzwi i otworzył je, zanim Stanisław zdążył zawołać: — Wejdz!.. Mógł to być tylko kolega i gospodarz pokoiku nie omylił się: — A... to ty, Wacku — dodaje wesoło i chce mu powiedzieć, że przyszedł w sam czas, bo na pożegnanie, ale tamten go uprzedza. Niższy od Stanisława, krępy brunet, nieco przysadkowaty, wygląda na starszego niżeli on, i jest też na ostatnim kursie.

— Bracie — mówi, a głos mu lekko drży — jadę do domu na całą noc, bo ojciec chory. Musi tam być źle, bo telegrafowali. Już się znam cośkolwiek na medycynie, a przytem nie dałbym tu sobie rady z niespokojnością.

— Ale nie mam pieniędzy — dodaje ciszej — przyszedłem cię prosić, czy nie mógłbyś pożyczyć mi kilkunastu rubli?

— Może cię rabuję, może ty sam potrzebujesz, lecz tak mi trudno założyć ręce spokojnie. Ojczyisko biedne, spracowane dla wygody nas wszystkich, cierpi tam!..

Stanisław kładzie mu rękę na ramieniu. — No... no, bracie, nie przypuszczaj zaraz rzeczy najgorszych — mówi wzruszony. — Mam pieniądze i dam ci, nie bardzo wiele, ale zawsze zajdziesz o tem.

Otwiera szufladę biurka i bierze z pugilaresiku wszystko co tam jest. — Jedź na całą noc kurjercugiem — myślę, że będziesz miał na to dość? — mówi, kładąc mu pieniądze w rękę.

Całują się, obaj równie wzruszeni, ale tamten biedak nie ma czasu do stracenia, chcąc zdążyć na pociąg kurjerski, i wychodzi zaraz. — Jeżeli w święta zobaczysz moją matkę i siostry w kościele, to pozdrów je odemnie — woła za nim Stanisław, przechylając się przez poręcz pod wschodów, do których go odprowadził, i wraca

potem do samotnego pokoiku smutny. — Biedny Wacek! — szepcze — to go spotkała kolenda!...

— Broń-że, Boże, aby ten biedny p. Szymon miał umrzeć... — myśli, siadając przy biurku. — Wioszczyzna mała, piaski, on jeden potrafi wydość z niej tyle, aby się utrzymać z rodziną na starych śmieciach, i coby to było, gdyby nie stało go nagle?..

— Dyable to życie takich ludzi — szepcze zasepiony — biedny stary zapracował się.

— No!.. — dodaje — teraz już naturalnie nie jadę, i trzeba napisać do matki, do sióstr!..

Siadł do biurka i nie odwracając zaczął pisać, a gdyby kto z kolegów widział, jak przed włożeniem listu w kopertę pocałował go, pomyślałby, że to całus posłany przez przestrzenie kochance. Poetą był!..

Potem wstawszy, spojrzął na zegarek. Było już późno i powiedział sobie, że należy iść spać. — Tak-to człowiek pisze nieraz na Berdyczew do najpewniejszych niby nadziei swoich — rzekł z mimowolnym żalem, gdy w kwadrans potem zagasił świecę.

Nie żałował tego, co zrobił dla przyjaciela i kolegi, ale niemniej był smutny. Tęsknota do matki, do sióstr, a może więcej jeszcze do domu — do drogiej kątów starych, do kawałka ziemi, na której się rodził, ścisłała mu serce, a gdy księżyc właśnie zajrzał w jego okno i oświecił pokój, jemu przyszło na myśl, jak tam wygląda w tem oświeśleniu srebrnym, wioska rodzinna? Roztoczył mu się przed wyobraźnią cały krajobraz i zwolna wyobraźnia ta malować mu zaczęła obrazek za obrazkiem, całą tę przestrzeń, którą by przebywał, dążąc do domu. Można powiedzieć, że pamiętał tu każde drzewo, każdy kamień!..

— Dość i tego, że człowiek może tak nosić wszędzie ze sobą odbicie drogiej mu obrazów — westchnął. — Jest to owa nierozłączność jego z przeszłością, przez którą nie zapomina... przez którą posiada zawsze na własność to wszystko, co miał drogiego, póki sam nie wyrwie sobie tego z serca — nie zasypie gruzami niepamięci!..

Młodość posiada szacowny jeden przywilej — sen dobry, który nie łatwo spłoszą nawet wzruszenia przykre. Stanisław nachodził się dziś ogromnie, bo żegnał kilku odjeżdżających do domu kolegów i zasnął twardo — tak twardo, że nie obudził się aż rano, gdy posługujący mu famulus, przyszedł palić w piecu.

— Jak tam na dworze? — zapytał.

— Mróz jak się należy! — odparł chłopak, a Stanisław zasepił się frasobliwie. — Szkoda, że nie dał Wackowi mego futra — pomyślał. — Jego baranki niewiele warte.

Parę razy przyszło mu to w ciągu dnia do głowy, jak wyrzut sumienia, i myślał o podróżnym kolledze, gdzie też może być o tej owej godzinie? Jak gdyby za karę siedział cały dzień w domu a na wieczór wigilijną pił herbatę, szklanke za szklanką. Na stole figurował przecież opłatek i strucla z makiem, ale ich nie tknął, bo w końcu zaczął się stawać smutnym i złym sam na siebie:

— Zawsze jest ze mnie głupiec wspaniałomyślny — zakonkludował w końcu i położył się spać kwaśny.

Zato nazajutrz wstał tak wesoły jak słońce, które świeciło z nieba bez chmury i umiało brylantować lody, osypywać gwiazdami śnieg. Był w pysznym humorze i stroił się, elegantował jak dandyś jaki, gotów był nawet złać się wodą kolońską, gdy drzwi się otworzyły i wszedł kolega a zarazem stary znajomy, bo brat powietnik.

— Cóż ty chorujesz? — chciał zawołać, ale się zatrzymał, widząc, że Stanisław nie wygląda na to.

— Gdzież to wasan kryłeś się wczoraj? — zapytał. Czekaliśmy na ciebie tak długo, że polewka migdałowa wystygła i kłębiliśmy się z poręczką w pień, ale potem zaczęliśmy się bać, czy ci się co nie stało?

— Stało się, ale mimo to jestem zdrow i cały, jak widzisz — odrzekł Stanisław z uśmiechem. — Wyjeżdżałem... biesiadowałem!..

— Gdzie? u kogo?..

— O daleko... daleko!..

— Za miastem?

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg.)

— Tak... Byłem u pewnych jaśnie wielmożnych państwa, którzy wyprawili dla mnie wielki bal...

Mówił to wesoło, żartobliwie, ale potem rzekł poważnie. — Rozbierz się, Antku, z futra, i siadź, jeśli mnie kochasz. Muszę ci opowiedzieć mój sen wigilijny...

— Tylko nie pomyśl, że się zrobiłem starą babą. Tęsknota płata czasem ludziom figle różne, ale tym razem nie gniewam się na nią. Siadaj tylko i posłuchaj. Śniło mi się, że jadę do domu... jadę, jadę...

— I dojechać nie możesz. No, to sen bynajmniej nie oryginalny... Przeszłych wakacji, gdy tu siedział i kuł *wieki średnie* miewałem razporaz sny podobne. Raz, pamiętam, zginęły mi niby buty na popasie i nie mogłem się ruszyć z miejsca.

Stanisław położył mu rękę na ramieniu. — Słuchaj tylko — rzekł — mój sen dał mi przeciwnie coś znaleźć...

Miał w oczach rozmarzenie, ale otrząsnął się z tego i rzekł z uśmiechem, który był przecieź bardzo słodki. — Śniło mi się, że jadę do domu snownym lasem, jadę, jadę... Drzewa szumią, ptaszki śpiewają, jak na wiosnę, a ja myślę gdzie to jest? Czy to już nie inny powiat, czy nie las Olszanowski, którego ma być mila? Oglądam się, a drzewo stoi obok drzewa, sosny same, czyste kolumny. Gałęzmi splotły się w górze i mam nad głową sklepienie zielone, aż nareszcie widzę... polanka.

— Zamek zaczarowanej królowej?

— Nie żartuj, jeśli mnie kochasz. Widzę polankę a księżyc świeci na samym środku jak lampa niebieska. Na polance stół nakryty, i oglądam się. — Kto tu ucztuje? pytam się, sam nie wiem teraz kogo, ale tak było, że się zapytał, i oto przypada zaraz do mnie chłopczek nieduży w sukmaneczce ładnej, ze wstążeczką zadzierzgniętą pod szyję i powiada. — Jaśnie wielmożny pan jest tu zaproszony na wieczór wigilijny i czekają go wszyscy... Czy dawać już?...

— Dawać — rzekłem z fantazją i poprawiam czapki, na bakier ją kładę, a tu takich malców kilkoro poczyna się krzątać koło stołu. Krzesła przystawiają, stają rzędem za niemi a goście też idą para za parą, jak w polonezie. Kłaniają mi się dwornie, ja kłaniam się także, prezentować się chcę, aż jeden, personat poważny, przerywa mi: — Nietrudź się waszmość... wiemy kogo mamy honor przyjmować... Znałem dobrze dziada Waszmości, też Stanisława, i jego godnego rodzica, p. Wojciecha... Wszak tak, nie myślę się w imionach?

— Tak... opowiadam, choć sam nie wiem tego dobrze; nie pamiętam, zmieszany jestem a oni mi do stołu iść każą. Opłatkami się łamiemy a potem obnoszą misy i ja jem, piję, słucham muzyki, która gdzieś między drzewami gra wolnusięńko...

— Aż zapiał kur i wszystko zniknęło?...

— Nie — odpowiada Stanisław poważnie — nie wszystko. Czemu się nakarmiłem, czemu się napiłem na tej biesiadzie czarów — to mi zostało...

— A czy były i marcepany? — pyta ironicznie kollega, lecz Stanisław odpowiada mu łagodnie, że były. — Jeszcze słodycz w ustach czuję — dodaje z uśmiechem.

— Skoro tak, to dobrze, mój fantast... Zbieraj się i chodź... Powiem kolegom, żeś miał wczoraj małego biczka, ale to nic złego, skoro nie czujesz, aby ci zaszkodził. Myślę tylko, że zaczniesz wkrótce pisać wiersze...

— Nie wiem tego, ale że mi coś przybyło — to pewno!...

Stanisław obraca się, aby wziąć czapkę i szepcze niemal bezwiednie słowa starego poety: —

— Miłość i tęsknota, to dwa bieguny ludzkiego żywota...

....

— Ni, nie wezmę! — powtórzył jeszcze dalej się usuwając. — Dam swoją dziesiątkę!

Dobyl z zanadru chustkę, w której rogu zawiniętych miał parę miedziaków, i poszedł za innymi.

Pan zbliżył się do Huców i rozmiali z sobą przyjaźnie.

— Ten coś wart, choć głupio wygląda.

— Wart. Ino się popsuje. Dobry kiedy między złych wpadnie, albo zmarnieje, albo gorszym od nich się stanie. Ten dobry!

— W służbę nie chce iść do nas?

— Nie. Za rok przyjdzie!

— Zkąd wiecie, bat'ku? — wmieszał się Matwiej.

— Zobaczą.

Uwolniono bydło. Za tabunem szli chłopci, ostatni — Kalenik.

Mijając śpichlerz zobaczył Karpinę, niosącego troje sówiat z gniazda wydartych, śmiesznych do kotów podobnych.

— Daj mnie! — rzekł.

— Na co? Zjesz? — zaśmiał się Huc.

— Nie. Dzieciom zaniosę, niech męczą!

— Weź!

Rozeszli się, i Kalenik z bydłem ku wsi pociągnął. Wieczór się siał, nabrzmiały parami wiosennymi, pełen tajemniczego ruchu i drżenia.

Zdawało się, że ziemia tętni i dysze, że niebo nad nią wlatuje wysoko, że ją wiatr całuje.

Po dolach gdzie zieleniała trawa ociągały się bydłeta i Kalenik przystawał, ciesząc się, że jadło.

Łąka była wprawdzie pańska, ale dziesiątka była jego. A zresztą łąki nikt nie zasiewa.

Tak powoli zbliżał się do domu.

Na niebo czyste wypłynął nów i ciepły oddech miało powietrze od zachodu. Kilka pastuszych ligawek grało we wsi, i słyhać było nawoływania parobków, zbierających się na nocleg z końmi.

Kalenik przyspieszył kroku.

Nikogo w chacie nie było. Sydor miał zwyczaj nocami się włóczyć, niewiedomo gdzie. Kiryk klacz na wygon poprowadził.

Dzieci tylko siedziały na przyzbie, zbite, od płaczu osłupiały.

Rzucił im sówiat na zabawę, a sam dobytku dopatrzyl.

Gdy zakończywszy tę ostatnią robotę, wracał do chaty, ujrzał dzieci zajęte i już rozbawione; Mokrenia powiązała ptaszki na długim sznurku, i włóczyła je po ziemi, a Sak szedł za nią z kijem, i bił je, i wołał:

— To Kiryk, a to bat'ko. Masz tobie, bat'ku masz tobie, Kiryk! A nu, a nu!

Wreszcie Mokrenię zazdrość zdjęła, więc zmienili rolę.

— Ty ciągnij Sak, a ja będę bić!

Sówiat już nie żyły. Bezkształtną masę puchu i krwi suwali dalej, po błocie, i wśród śmiechu wołali na wyścigi, bijąc i depcząc.

— To bat'ko, a to Kiryk! Bij bat'ka, bij!

Kalenik minął je obojętnie, rad, że jeść nie wołają.

Z nieba nów srebrny tej zabawie się przyglądał, a gwiazdy mrugały — jak oczy — łez pełne!

Kwiecień.

Na „Bocianie łapy“ powrócił.

Kalenik zapamiętał ten dzień. Było to przecie święto, nie kościelne i nie dworskie, ale święto.

W przeddzień gospodynie napięły „Bocianich łap“. Były to placki dziwacznej formy, które o świcie gospodarze rzucali ku niebu, odmawiając przyjętą od wieków formułę:

— Bocian, bocian, naści holopę — daj żyta kopę.

Bocian, bocian, naści brone — daj żyta „stronę“.

Bociany zadumane na gniazdach, kiwały długimi szycami; zawracały dzioby na grzbiet i klekotały rozgłośnie. Może obiecywały kopy i „strony“.

Potem odwiedzone karcznię, a wreszcie rozpełzli się ludzie po polach i drogach, lub spali po ciemnych komorach.

Roboty było mnóstwo przy siewiach wiosennych, ale „Bocianie łapy“ — wielkie święto i wielki grzech cokolwiek w ten dzień robić, szczególnie kręcić. To też baby, ani przedły, ani melły, nawet łapci pleść nie wolno, nawet włosów zapleść.

Baby tedy gromadami obsiadły ulicę.

Zbierały się po kilkanaście i sejmikowały. Dziewczęta opodal zasiadały na ziemi, przy rowach pełnych cuchnącej wody, w pyłe drożnym i sejmikowały także.

Minęła Wielkanoc, chodziły swaty. Dziewczęta to czuły, zhardziały.

Parobcy trzymali się także gromadkami.

Postrojoni, kopcąc papierosy, stali gdzieś pod płotem, na kobiety wcale nie patrzac.

Czasem tylko te dwa grona młode łączył kurz, wznoszący się tumanami z ulicy, jakiś żart głośniejszy, lub kamień ciśnięty przez konkurenta w plecy wybranej.

Tak się zabawiał, kto nie spał na „Bocianie łapy“.

Kalenik spał w zakątku chlewa pod żłobem. Siermięgę na głowę nasunął, chroniąc się od komarów, i chrapał na wyścigi z cielakiem, który odłączony od matki, ryczał w niebogłosy.

Parobek był szczęśliwy, że mógł spać. Marzenia jego nie sięgały dalej, tylko do spoczynku chęci też nadzwyczajne ograniczały się na tem, żeby choć raz co tygodnia były „Bocianie łapy“, oprócz Niedzieli. Śniło mu się zaś, że ożenił się i spał na żoninej pierzynie, na piecu. Mógł spokojnie śnić i chrapać. W chacie ustalił się już letni porządek. Kiryk zdał świetnie „egzament“ i zgodził się do wioskowych koni za pastucha, były więc pieniądze, a karmił się po kolei we wsi jak umowa była. Dzieci nawykły do dworskiej dąbrowy za strugą, wypędzaly bydło o świcie, wracały nocą, tak nasyczone jajkami i piskletami wydartymi z gniazd, że nie dopominały się wcale jadła.

Zbył więc Kalenik trzech gąb z domowego budżetu; opłacono podatki, sprzedawszy dwuletnią cielicę, ano i lato szło, kiedy ze zmęczenia i gorąca mało się je, kiedy zbyt zbytnie się stają buty, kozuch, czapka!

Shczęśliwy był Kalenik; żeby jaka-taka baba w chacie, nawet-by się nie żenił, żałując kilkunastu rubli, które zdałyby się na coś innego.

Ale baby nie było, i Sydor groził, że sam się ożeni, jak się chłopiec będzie ociągał.

Na Zielone Święta obmyślano gody. Z kim, o tem mowy nie było. Kalenikowi było to zupełnie obojętne. Swachy zaglądały często, rajac to jedną to drugą; Sydor decydował się, albo na Szczerbiankę z Zamoroczenia, albo na Syluków jedynaczkę.

Parobek swatom tym, naradom, namowom przysłuchiwał się w milczeniu, nie wtrącając słowa.

Z łulką w zębach, zmęczone dźwiganiem sochy ramiona złożywszy bezwładnie, siedział na ławie, spluwając tylko od czasu do czasu.

Apatyczna jego twarz nie ożywiała się na chwilę, senne oczy patrzyły w próżnię lub w ogień komina, myśli były w zagonie, który dziś orał, lub w chlewie, gdzie woły spoczywały.

Tylko co Soboty wieczorem nie było go w chacie. Wracał późno, czystą bieliznę cisnąc w zanadru, i wtedy czasem gwizdał nutę weselnej pieśni.

Noce stawały się coraz krótszemi. Po wieczory ledwie parę godzin trwał spoczynek; potem w noc srebrzystą, na białą rosę, wypędzal woły

i pał je po rowach, po skrajach dróg, po mie-
dach.

Teraz więc spał z rozkoszą. Przez szczeliny
ścian starych słońce do niego zaglądało coraz
z innej strony — mijaly godziny.

W chlewie robiło się szarawo, po belkach sia-
dały do snu wróble, świergocąc na dobranoc, pod
dachem drzemiąca sowa wyciągała skrzydła do
lotu: dzień dobiegał kresu.

Kalenik się przecknął i wstał opieszale.

Poczuł głód i nudę wielką, ziewnął raz i drugi,
siermięgę włożył i wyszedł na podwórze.

Zmrok już był tak przejrzysty i cichy, że na-
wet chłop to zauważył i uczył nieokreśloną bło-
gosc.

Chwilę stał, wahając się. Za chatką Łucysia
była gąszcz czeremchy w kwiecie, kędy cha-
dzał co Sobota; w chacie był garnek z za-
cierką....

Tam iść, czy tu?

Poskrobał się w głowę pełną słomy i pyłu,
i zawrócił do chaty. Zacierka przemogła ry-
walkę o złotym warkoczu.

Siadł ze stryjem nad misą. Do chaty na noc
schodziły się kury, gęsi i prosięta, wnosząc gwar
ogłuszający; karmiono je, nie troszcząc się o czy-
stość i porządek; dym zasłaniał, jak zwykle, pułap
i ściany — siał się, aż w sieni, z kąd go przeciąg
wypychał napowrót do izby.

Wtem Łyska na podwórze wypadł i ujadać
począł zawzięcie, jak na wilka czy żyda.

Oby głos odpędzał go, ale pies nie ustawał.

— Co za czart łazi! — burknął Kalenik,
wstając.

Aż we drzwiach stanął ów czart. Drab w żoł-
nierskim odzieniu, z węzełkiem na plecach, ogo-
lony, ostrzyżony.

— Zdrowe, bratcy! — rzekł głosem ochrypłym,
akcentem nie miejscowym, zrzucając węzełek
z pleców i salutując po-wojskowemu.

— I Boh me! Sacharko! — krzyknął Sydor.

— Tak, toczno! — odparł żołnierz ze śmie-
chem.

— Puścili cię! — radośnie rzekł Kalenik.

— A jakże! Ciągnęli losy, ja dobry dostał —
taj, wolnym! Uf! Dajcie jeść i pić!

Rozpiął mundur. Koszulę miał perkalową,
czerwoną naszytą, na ramieniu spiętą, niby jaki
pan, czy ekonom.

— Tak, całkiem puścili? — niespokojnie badał
ojciec, dobrze jego mowy nie rozumiejąc.

— A jakże! Bilet dali. Czysto trzy lata prze-
służył, ni razu na karze nie stał.

— I piechotą szedłeś?

— Po żelaznej drodze jechał — tyle światła!
Myślicie, że to ja w powiecie był? Stali w gro-
dzie wielkim Nowozybkow, wiecie? Tej zimy
u rotnego ja służył. Dobrze było. Piechotą
z powiatu idę. Zmordował się!

— Kalenik, skocz-no po wódkę i śledzia i bu-
ki! — zakommenderował Sydor.

— Dajcie lepiej swego chleba! — rzekł Sa-
charko.

Widział ja wiele rzeczy, co wam się i nie
śniły, ale co chleba swego, to nie widział trzy
lata.

Kalenik pobiegł do karczmy, po drodze sąsia-
dom opowiadając wieść radosną.

— Przezimowali, a wiosną puścili! — powtarzał.
Taki gładki (tłusty), jak harbuz powrócił. Do
kosi — do sochy!

Sąsiedzi zeszli się do Hubeniów. Byli tacy,
którzy synów mieli w tym pułku, inni przyszli
przez prostą ciekawość i w nadziei kieliszka
wódki.

Sydor szczodry był. Pili wszyscy.

Sacharko opowiadał dziwną łamaną mową, dzi-
wa, których może sam dobrze nie pojmował.

Kalenik myślał wciąż o tej parze zdrowych
młodych rąk, które jak skarb przybywają do
chaty. Teraz oni we dwóch cudów dokażą.

Zjadł tedy żołnierz swego chleba i zmorzony
zasnął pod swym dachem.

Szeroki, wielki świat coraz dalej odeń odbie-
gał.

Chata, co go zrodziła, zabierała go znowu jako
własność, zaciskały się ramy. Już drugi raz nie

pójdzie Sacharko za te bory otaczające Hrywdę
i prędko zapomni, że był daleko, że widział różne
dziwa.

Nazajutrz odpoczywał, odwiedzał znajomych,
wstąpił do karczmy, oznajmił swój powrót w gmi-
nie. Z jednej armii przechodził do drugiej.
Z tej drugiej dopiero go śmierć zwolni, kiedy los
je na niego padnie i bilet na kniazie wydadzą.

Tymczasem był jeszcze jak gość, jak osobli-
wość. Świecił mundurem wśród swit, na krasny
brzeg jego czapki oglądały się dziewczęta, po-
zdrawiali go wesoło rówieśnicy, starając się mó-
wić, jak on, stylem wielkiego świata.

Chodził dumny jak paw, ręce trzymając w kies-
zeniach i paląc papierosy gotowe.

Kalenik wyrażał się o nim z szacunkiem, Sy-
dor spoglądał na niego z dumą, ludzie zachwycali
się, że taki tłusty i zdrów.

Tak odpoczywał dzień i dwa — wreszcie ty-
dzień.

Nikt go do pracy nie napędzał. Kalenik co
ranka wychodził z sochą lub broną, ino przypo-
minal najmitce, żeby okraszy i mleka Sacharkowi
nie brakło. Tak go pieścili!

Na polu roboty było dla trzech, ale parobek
nie sarkał.

Księżyc mu przyświecał, gdy wychodził na
zagon. Sochę zakładał na jarzmo, i woły ją
dźwigały, krocząc majestatycznie. On szedł za
niemi, w kozuchu, ale bosy, zacerwienionymi od
bezsenności oczami wodząc po niebie.

Miewało ono już na wschodzie perłowo-różowe
tony, a miesiąc tę szatę srebrem przetykał.

Zroszona i cicha, ziemia jeszcze spała i chłód
rannego wiatru po niej się siał.

Za wsią Kalenik skręcał w prawo.

Tam, granicząc z dworskim łanem, cztery jego
zagony wyciągały się, aż het, pod las.

U skopca granicznego krzyż stał dwuramienny
pochylony nad chłopską rolą. U stóp jego głaz
leżał i gąszcz chmielów zczerniałe drzewo co
roku mał. Wegetowała też u tej Męki gruszka
dzika rękami pastuszemi co rok łamana. Krza-
kiem się wreszcie rozpostarła, ni kwitnąć, ni
owocować nie chciała i tak trwała od czasu, jak
Kalenik zapamiętał.

U skopca zrzucił on sochę i jarzmo, na głazie
kładł swą torbę z jedzeniem i woły pał na
miedzy.

Chłodna, biała rosa kąsała jego bosc stopy;
oparty na ośnie (kij do popędzania wołów) drze-
mał, bezwiednie posuwając się za wołami.

Na niebie coraz więcej było złota, coraz niżej
spadał księżyc, i gwiazdy gasły, jak wypalone
strażnicze kaganki.

Wtedy Kalenik zaprzęgał woły i poczynął
orać. Rataj był z niego wyśmienity. Bruzdy
składał drobne, równe rąk ni potu nie żałował.

Z ziemią tą pieścił się — kochał ją i, idąc za
sochą, przypominał sobie, ile mu ona w roku ro-
dziła. Pamiętał snop każdy, czas każdego zbioru,
słoty, które mu przeszkadzały, susze, które
mu żdzbla paliły.

Długie były te zagony i mieściły jasnych zbóż
wszystkie gatunki. Uprawiał też je po kolei,
pilnując się dni feralnych i pogody.

Daleko pod borem żyto jare srebrne, już falo-
wało, gdy on orał pod jęczmień. Za jarką owies
ogniem złotej swierzepy się palił, czarno-zielono
wschodziły kartofle.

Patrząc na nadzieje te chłop się nie cieszył.
Zaledwie zasnawszy, myślał: na ile miesięcy
plonu tego mu starczy, a ile dokupi na przed-
nówku?

Kochanie to jego — ta ziemia — niewdzięczne
było, zawodne; pot jego brało, jak mierzwę so-
bie należną, płaciło zdradą i szyderstwem.

A przecie za kochanie to chłop dałby chętnie
krew wszystką.

Wschodziło słońce — zaludniał się dworski
łan. Kartofle tam były tego roku, więc ruch pa-
nował wielki.

Obszary te, mnogość koni i wołów, budziły
w Kaleniku ponurość. Opryskliwiej odzywał
się do wołów, a wolniej się włókl i garbił nad
zagonem.

Było tam fornalek dziesięć, ratajów dwadzie-
ścia, on sam był jak mucha marna.

Coraz wyżej wstępowało słońce. Zrzucił
kozuch, płótno koszuli na zgarbionych jego ple-
cach czerniało od potu, twarz, kark, ręce wiatr
i skwar jak ogniem smała i powlekał skorupą
bronzowo-czerwoną.

Głos był ochrypły i ginął przy szmerze
ludzkim na dworskim łanie.

Poznawał Huców i poznawał wśród najemnie-
Łucysię po najbliżej odzieży i warkoczu tym,
którym go zuroczyła!

Czasem ledwie ją widział zdaleka, czasem
o krok byli od siebie, ale on jej nie zaczepiał,
a ona udawała, że go nie widzi.

O południu odpoczywał pod krzyżem, odpo-
czywała i ona opodal, wraz z innymi, na ziemi
obiad spożywając.

Mógł do chaty na obiad pójść, ale pozostawał,
suchy chleb gryząc i wodą znowu popijając.

Tak go te „uroki“ ciągnęły do niej i tak go
coś w czci trzymało, że się z tem kochaniem krył
i cierpiał, byle jej na obmowę nie naraził.

Ciągnęły złote włosy i krasa i czystość, a trzy-
mały w czci łzy i łagodność i bieda.

I tak po całych dniach nie odzywali się do
siebie w znoju bliższy i w sercu, a w życiu dale-
cy — dalecy.

Raz tylko na tym zagonie się zeszli, na którym
ona nigdy gospodynią być nie miała.

Przyniosła lnu trochę, za który odrobić mu
miała we żniwa.

Raniutko przed wszystkimi przyszła i skarb
ten swój mu oddała, by zasiał.

— A może nie chcesz? — pytała. Będą na cie-
bie swarzyć się za to pole!

— Kto? — spytał ramionami ruszając.

— Ot, żonka twoja młoda! — szepnęła.

— Mohe, a mlona na żonkę niema w chacie! —
burknął ponuro, rzucając pierwszą garść sie-
mienia.

— O Jezu! Bić ją bedziesz?

— Albo ja ją na lubienie wezmę. Do roboty?
A do pola jej wara!

Szedł brudzą i lśniące ziarenka wielkim rzutem
ręki na zagon ciskał. Patrzyła za nim.

— To dobrze, że u mnie pola, ni statku (bydła)
niema — rzekła.

— Czemu? — zdziwił się, stając.

— Bo ty-by mnie wziął i bił! — uśmiechnęła
się.

— Ciebie? — twarz jego pojaśniła nieco. —
Tobie-by ja trzewiczki do pościeli zdejmował.
Choćby się upił, toby ciebie nie tknął! Boh me!

Dziewczyna podniosła fartuch do oczu i odwró-
ciła się, nic nie odpowiadając.

On dalej siał jakby zawstydzony.

Skończył wreszcie i ostatnią garść w krzyż na
wiatry rzucił.

— Rodź, Boże! — rzekł, uchylając kapelusza.

Łucysia przeżegnała się nabożnie.

— Rodź, Boże i tobie stokrotnie! — szepnęła,
odchodząc na dworskie pole.

Parobek począł nasienie bronować i zębatą
broną trzęsąc, zeicha zaśpiewał:

Oj czas, pora, matko,
Druzbów sobie szukać.
Nasiałem ja żyta:
Niema komu pożać.

Nasiałem ja żyta:
Niema komu pożać,
Przyjdzie nocka ciemna:
Ani z kim pogadać!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Jeszcze o odkryciu Kocha. — Odbarwienie się ryb. — Sztuczne rubiny. — Poczta elektryczna. — Komety Bernard'a.

Powracamy dziś raz jeszcze do odkrycia Kocha, które nie bez słuszności zajęło wszystkie umysły. Powiadamy: „nie bez słuszności“, — gdyż nasamprzód odkrycie środka przeciwko tak strasznej chorobie, jak suchoty płucne, ulżyłoby cierpiącym i niedoli milionów nieszczęśliwych, a potem trzymanie środka w tajemnicy pobudza w wysokim stopniu ciekawość specjalistów i ogółu i wywołuje najrozmaitsze, często graniczące z bluźnierstwem naukowym, komentarze.

Przytoczyliśmy w poprzedniej pogawędce, w streszczeniu, komunikat naukowy Kocha. Według niego odkryty środek ma działać specyficzenie (więc tak, jak np. chinina w zimnicy) na wszelkiego rodzaju choroby gruźlicze: na wilka, choroby kości i zmienioną tkankę płucną; na tę ostatnią tylko w samych początkach cierpienia, t. j. dopóki znaczniejsze przestrzenie nie uległy sprawie chorobowej. Dalej środek nowy służyć ma do rozpoznawania choroby, w takim stopniu nawet, gdy jeszcze fizykalnem badaniem żadnych zmian w płucach, ani winnych tkankach, np. w skórze, wykazać niepodobna.

Za staraniem D-ra Bujwida, który w tym celu jeździł do Kocha i przywiózł jego środek, rozpoczęto doświadczenia prawie we wszystkich tutejszych szpitalach na dosyć znacznej liczbie chorych. Ze starannie prowadzonych obserwacji pokazuje się, jak dotąd, że środek kochowski posiada w samej rzeczy odmienne działanie od wszystkich dotąd znanych, albowiem podskórne zastrzyknięcie minimalnej jego ilości (0.01) wywołuje w większości przypadków dotkniętych sprawą gruźliczą objawy ogólne i widoczne zmiany miejscowe w chorych tkankach, dostępnych dla oka. Są to jednakże dopiero doświadczenia i dziś już wątpić nie można, że należy bezwarunkowo doświadczenia prowadzić, z ostatecznem jednakże wyrzeczeniem zdania powstrzymać się potrzeba tak długo póki nie zostaną ukończone. Jak długo na ów upragniony rezultat wypadnie czekać? — tego również przesądzać nie można jeszcze. W każdym razie, w miarę zdobywania nowych wyników w tym przedmiocie, nie omieszkamy podzielić się niemi z łaskawymi czytelnikami „Bluszcza“.

*

*

*

Niektóre gatunki ryb posiadają własność zmieniania swego zabarwienia, mianowicie przybierają kolor ośrodka, w którym się znajdują, a co naturalnie chroni je od napaści nieprzyjaciela, stają się bowiem w ten sposób dla niego niedostrzegalnymi. Zmiana zabarwienia dochodzi do skutku za pośrednictwem swoistego rodzaju komórek kurczących się i rozszerzających pod wpływem pewnych bodźców. W zwykłych warunkach, t. j. gdy owe komórki, zawierające barwnik, są rozszerzone, ryba posiada ciemny kolor, albowiem barwnik znajduje się na znaczniejszej przestrzeni; gdy się skurczą, zajmują bardzo nieznaczną przestrzeń, skutkiem czego otaczająca je tkanka zostaje odbarwiona, t. j. przybiera jasny kolor.

Doświadczenia prowadzone przez Pouchet'a nad tym przedmiotem przed dwudziestu laty wykazały, że bodziec wywołujący zmianę barwy nie działa wprost na komórki barwnikowe, lecz na oko ryby. Pouchet robił obserwacje na flondrach. Górna połowa tej płaskiej ryby posiada w wysokim stopniu własność zmieniania barwy. Otóż badacz ten wpuścił do akwaryum znaczną ilość flonder i zauważył, że wszystkie, leżąc na

białym piasku, przybierały odpowiedni biały kolor, albo przynajmniej bardzo jasny. Jedna tylko ryba wyróżniała się od innych i od dna akwaryum ciemną barwą. Dalsze badania przekonaly Pouchet'a, że była ona zupełnie ślepa i skutkiem tego jedynie nie zmieniała barwy, że oczy jej nie odbierały wrażeń i temsamem nie mogły pośredniczyć między bodźcem a komórkami barwnikowemi.

Przed niedawnym czasem znany wiedeński naturalista Aloizy Lode przeprowadził podobną obserwację.

W stawie Klostemburskim pod Wiedniem między znaczną liczbą flonder, o jasnym zabarwieniu, znajdował się jeden exemplarz o zupełnie ciemnych kolorach; i tu dalsze badania wykazały, że ryba ta była zupełnie ślepa.

W jaki sposób otrzymane przez siatkówkę oka podrażnienie udziela się komórkom barwnikowym — wyjaśnił tensam uczony Pouchet. Badacz ten wykazał doświadczalnie, że podrażnienie udziela się, nie przez rdzeń kręgowy, lecz za pośrednictwem dwóch nerwów biegnących od mózgu po bokach kręgosłupa, a zwanych nerwami sympatycznymi. Chociaż dokonamy przecięcia rdzenia kręgowego, to pomimo to ryba nie utraci możności zmieniania barwy, a traci ją najzupełniej po przecięciu obydwu nerwów sympatycznych. Po nerwach sympatycznych podrażnienie udziela się dalej nerwom wychodzącym z rdzenia kręgowego do mięśni, posiadających również łączność z nerwami sympatycznymi. Gdy Pouchet przecinał owe nerwy, a temsamem znosił łączność z nerwami sympatycznymi, natenczas ryba utracala w odpowiednich miejscach własność zmieniania barwy; w ten sposób udało mu się sprowadzić tego rodzaju smugowate zabarwienia, jakie widzimy u zebry. Drażniąc nerwy strumieniem elektrycznym można przy pomocy szkieł powiększających dostrzedz kurczenie się i rozszerzanie komórek zawierających barwnik. Komórki te w początkach przedstawiają się jako symetrycznie ułożone gwiazdki, później stopniowo zaczynają odrostki wciągać w siebie, nareszcie kurczą się przybierają kształt okrągły, przyczem otaczająca skóra staje się jaśniejszą. To, że prądy elektryczne biegną w samej rzeczy po nerwach, wykazał Lode w następujący sposób na forelach: Gdy przeprowadzał za pośrednictwem igieł strumień elektryczny do rdzenia kręgowego, forela dostawała drgawek i przybierała kolor jasno-szary; gdy jednakże przedtem w jakim miejscu dokonano przecięcia owych komunikujących nerwów, natenczas odpowiednie miejsce nie zmieniało ciemnej barwy, cała zaś skóra ryby przybierała kolor jasny. Gdy przecinał w pewnym miejscu rdzeń kręgowy, wtedy jedynie uszkodzone części, drażnione strumieniem, podlegały drgawkom, a cała skóra przybierała jasny kolor, co również stanowi dowód, że nerwy posiadające własność kurczenia komórek nie wychodzą z rdzenia.

Plamki czerwone, rozsiane na całej skórze foreli, które dostrzedz można z łatwością gołym okiem, są również komórkami barwnikowemi, lecz różnią się od tych, od których zależną jest zmiana barwy. W pierwszych ani podrażnieniem systemu nerwowego, ani miejscowem działaniem prądu elektrycznego, nie podobna wywołać efektu, jaki sprowadzają drugie.

Podobne zmiany zachodzą i w zabarwieniu skóry kameleonów, w których zmienianie kolorów stało się przysłowiowem.

*

*

*

Wielu bardzo chemików pracowało nad wydarciem sekretu naturze przygotowywania sztucznych drogich kamieni. Wspominaliśmy o tem w „Bluszcza“ niejednokrotnie. Obecnie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że sztuczne rubiny będą mogły wyrugować, a przynajmniej najdokładniej zastąpić naturalne, skutkiem czego te ostatnie spadną w cenie, albo też w zupełności wyjdą z mody z powodu taniości sztucznych.

Na ostatniem posiedzeniu Akademii Paryskiej w dniu 10-ym z. m. professor Fremy, wraz z swym współpracownikiem p. Verneuil, przedsta-

wili cały worek sztucznych rubinów, wielkości przewyższającej dwukrotnie, albo nawet trzykrotnie, rubiny, jakich używają zegarmistrze. Ogółem przygotował ich dotąd 3 kilogramy t. j. przeszło 7 funt. Poddane badaniu, wykazały one większy blask aniżeli naturalne, prócz tego czystość wody i trwałość były również większemi. W przekroju nie różnią się niczem od naturalnych i lepiej od tych ostatnich nadają się do fabrykacyi zegarków.

Wynalazcy, jak utrzymują, doszli do takiego rezultatu przez „tuczenie“ (nourrir) drobnych kryształków w temperaturze stałej + 1.300°. Operacya tego rodzaju trwa około tygodnia i im trwa dłużej, tem wydaje kryształy foremniejsze i większe. Wynalazcy mają też nadzieję, że wkrótce doprowadzą sztuczne rubiny do tej wielkości, jakiej wymaga jubilerstwo, i natenczas puszczone zostaną w handel. Wypada jeszcze dodać, że niektóre okazy posiadają zabarwienie niebieskie i fioletowe, zbliżające się do barwy szafirów.

*

*

*

Mamy już telegrafy, koleje, telefony, statki elektryczne, obecnie przybywa nam poczta elektryczna. Tak jest, dziś już w Ameryce zapomocą tego potężnego czynnika przesyłane są listy.

Na ostatniej wystawie w Bostonie przedstawiono model przyrządu do przesyłania listów i pakietów za pośrednictwem elektryczności, który okazał się przy ocenianiu przez biegłych, tak praktycznym, iż postanowiono bezzwłocznie zastosować go wzdłuż kolei żelaznej, łączącej Boston z New-Yorkiem.

Budowa została obecnie ukończoną i rezultat okazał się ze wszech miar zadawalającym.

Zasada tego prawdziwie cudownego urządzenia polega na przebieganiu ostrokręgowego cylindra, wewnątrz którego znajduje się korespondencya, przez szereg wydrążonych rolek, około których biegnie strumień elektryczny w ten sposób, iż każda z rolek stopniowo jak się cylinder zbliża, wywiera siłę przyciągającą i temsamem wprawia go w ruch. Osiągnięta w ten sposób prędkość wynosi około 3½ kilometra na minutę, cała zaś linia ma około 3.000 stóp długości. Motor elektryczny umieszczony jest w domu, na którego dachu znajduje się obserwatorium dla śledzenia przebiegu cylindra i jednocześnie oświetlają ją linia.

Dwie szyny ponad cylindrem i pod nim stanowią drogę prowadzącą przez owe rolki.

Budowa cała spoczywa na mocnych, wkopanych w ziemię słupach, odległych od siebie o 6 stóp, a wzniesionych ponad ziemię na 5 stóp wysoko. Wkładanie i wyjmowanie korespondencyi odbywa się przy pomocy odpowiednio urządzonej klapy w cylindrze.

*

*

*

Komety Brooks'a, obserwowana w roku zeszłym, przedstawiała tę osobliwość, że jednocześnie z nią dostrzedz można było kilka pomniejszych, odkrytych przez Bernarda w gwiazdopatrni Licka. Dwie z nich oznaczone głoskami B i C (kometę główną oznaczono przez A), odkrył Bernard 2 Sierpnia, dwie drugie zaś w trzy dni później. Dodatkowe te komety spostrzeżono także i w innych dostrzegalniach. Bernard nie zgadza się na nazwę dla nich „odłamków“ jaką często tego rodzaju ciałom niebieskim nadawano, oznacza ona bowiem pochodzenie ich, o którym właściwie dotychczas nie stanowczego powiedzieć nie można. Przeciwnie, części tej komety między sobą wyraźnie były oddzielone i odznaczyły się podobnie wybitną odrębnością jak komety główna. Ciekawym zmianom podlegały komety B i C.

W początkach komety B. była dobrze rozwinięta, mała ale jasna, z jądrem i ogonem; C. wprawdzie była większa, ale nie posiadała tak wybitnych kształtów. W ostatnich dniach

Sierpnia B. zaczęła ulegać przemianom, rozpadła się: stawała się bledszą i większą, a 5-go Września pozostała już po niej tylko wielka mgławica. Według Bernarda nie ulega wątpliwości, że kometa B. rozproszyła się w przestrzeni i w zupełności przestała istnieć; a może być, że została pochłonięta przez kometa A.

Kometa C. w początkach była od B. około pięć razy słabszą, stopniowo jednakże nabierała jasności i zgęszczała się. Dnia 31 Sierpnia stała się nawet jaśniejszą od komety głównej i posiadała wtedy jądro i ogon. Później zaczęła znowu słabnąć i uległa wreszcie takiemusamemu przeobrażeniu, jak jej towarzysząca. Bernard nie wątpi, skutkiem tego, że ponieważ kometa A. była jeszcze widoczną 20 Marca r. b., iż jej towarzyszące mniejsze komety przestały istnieć jako odrębne ciała, co ma bardzo doniosłe znaczenie dla historii komet.

Dr. Józef Starkman.

Kronika działalności kobiecej.

— Na wystawie rzemieślniczo-artystycznej pracy kobiet w Petersburgu znajduje się kolekcja miniaturowych postaci kobiecych, przedstawiająca ubiory kobiet wszystkich prowincji państwa z różnych wieków. Jestto dzieło pędzla amatorki.

— Wyższe kursa dla kobiet w Petersburgu wznowione i zorganizowane na nowo w 1889 r., miały w ubiegłym roku szkolnym 144 słuchaczek. Z tej liczby studyowało na wydziale historyczno-filologicznym 107, na wydziale fizyczno-matematycznym 37. Kursa składają się z dwóch wydziałów. Więcej niżeli połowa słuchaczki należała do stałych mieszkanek Petersburga; reszta: 69, pochodziła z różnych odległych nawet miejscowości: z Rostowa nad Donem, Ekaterynodar, Władykaukazu, Tyflisu, Tomska, Krasnojarska. Słuchaczki dzieliły się wedle stanu: pochodzenia szlachecko-urzędowego było 111, duchownego 7, kupieckiego 19, mieszczańskiego 5, włościańskiego 2. Z tych było: panien 141, mężatek 2, wdowa 1. Kształciło się w zakładach petersburskiego okręgu naukowego 80, w innych 64. Z całej liczby zapisanych tylko 4 pozostały na własne żądanie i jako drugoroczne na kursie I-ym. W bieżącym roku szkolnym było kandydatek na słuchaczki 110; z tych przyjęto 101. Studentki nie mające w Petersburgu domu rodzinnego, ani ustanowionej nad sobą opieki, obowiązane są zamieszkiwać internaty, w których władza szkolna może rozciągać nad nimi opiekę. Odwiedzające je osoby obowiązane są zapisać nazwisko swoje do specjalnej księgi kontroli, odwiedziny przyjmowane być mogą tylko w przeznaczonych na to poczekalni.

— Na zaproszenie Rady Opiekuńczej ubogich cyrkułu XII na Pradze podjęły się nadzoru nad wydawaniem bezpłatnego posiłku dla ubogiej ludności p.p. Brzezicka, Ferch, doktorowa Kryże, Krakowska, Michałowa Lippowa, doktorowa Landau, Lewińska, Mijakowska, Nawrocka, Tekla Olszewska, Natalia Olszewska, Natalia Patschke, Zofia Patschke, Piaszczyńska, Podkońska, Amelia Rosińska, Ludw. Kosińska, Szajbo, Szymańska, Sowińska, Szalla, Trześczkowska, Trochel, Jul. Wodzińska, Marya Wodzyńska, Włostowska.

— Towarzystwo opieki nad zwierzętami uchwaliło d. 22 Kwietnia b. r. stowarzyszenie pań, któreby rozwijało własną swoją działalność obok działalności Towarzystwa. W myśl tej uchwały wspomniane stowarzyszenie składające się z pań, będących członkami Towarzystwa, ukonstytuowało się obecnie i jakkolwiek pozostaje pod bezpośrednią kontrolą Towarzystwa, działa jednak oddzielnie przez członków swoich i komitet stojący tu na czele, a który składa dziewięć

pań, wybieranych na lat 3, posiada do czynnego zarządu przewodniczącą, jej zastępczynię oraz sekretarkę. Komitet ten używa własnych swych blankietów, posiadać będzie oddzielny „fundusz stowarzyszenia pań“; obecnie już ukonstytuowany, dokonywa zapisów na członków stowarzyszenia.

— Znana malarka Kanigowska zajęta jest pracą malowania wizerunków Matki Boskiej na chorągwiach ofiarowanych pobożnie dla kościołów okolic łomżyńskich przez pannę M., mieszkankę Łomży. Chorągwie te, haftowane wypukłe, mieścić będą obraz Bogarodzicy w pośrodku.

— W rubryce smutnego niedoboru działalności kobiecej zanotować trzeba fakt zdarzony w pow. Iłżyckim. Czteroletnia dziewczynka, Basia Mikulska, zostawiona w domu bez dozoru spaliła się przez zapalenie na sobie odzieży. Jest to następstwem braku ochrony, więc następstwem braku takiej czynności, która obowiązkowo przypada na dział kobiety.

— Zmarła w Wiedniu ks. Adamowa z Ponińskich Lubomirska, znana z dobroczynnej działalności w tym właśnie kierunku zakładania ochron i wznoszenia różnych instytucji dobroczynnych z których korzystać-by mogli na obczyźnie jej rodacy.

— Przed wyborami do rady miejskiej w Wiedniu zebrała się liczna rzesza kobiet dla narady nad pozyskaniem głosu we wspomnianych wyborach. Płacąc podatki tak, jak mężczyźni i odczuwając w równym stopniu skutki obranego przez zarząd miejski kierunku gospodarowania funduszami gminy, uważają za rzecz słuszną, aby głos ich znaczył też coś przy wyborach.

— Przy szkole wydziałowej dziewcząt w Krakowie urządzona jest pracownia dla tych z pomiędzy uczennic, które ukończyły jakkolwiek z kursów ręcznych robót kobiecych. Byłe uczennice są obowiązane uczęszczać czas jakiś do pracowni dla nabrania wprawy w tych gałęziach pracy, których uczyły się w szkole teoretycznie, od czego też zależy świadectwo szkolne co do uzdolnienia uczennicy w danych przedmiotach pracy. Materiały dostarczane są uczennicom, które przecież mogą, jeżeli zechcą, przynosić roboty własne, lub zamawiane u nich, a wszystkie będą zarówno wykonywane pod nadzorem kierowniczką „oddziału ćwiczeń“. Uczennice tego oddziału pracują przeciw na rachunek własny, więc i wtedy, gdy przedmiot ich pracy jest wykonywany na zamówienie szkoły, otrzymują za pracę swoją wynagrodzenie po strąceniu 15 proc. na koszt utrzymania zarządu. Wpisowe roczne 1 zł. reński.

— W Krakowie zawiązuje się „Towarzystwo Oszczędności Kobiet“, na wzór istniejącego już od pewnego czasu podobnego stowarzyszenia we Lwowie.

— We Lwowie została świeżo otwartą szkoła praktyczna dla dziewcząt. Oprócz robót wcho-dzących w zakres zwyczajnej pracy kobiecej udzielana tu jest uczennicom nauka wiejskiego gospodarstwa kobiety, kucharstwo, oraz rachunkowość domowa.

— Szkołę hodowli drobiu założono świeżo w Lotaryngii, w zamku Waldmünster w pobliżu miasteczka Teterchen. Tak uczennice jak uczniowie słuchają wykładów teorii, otrzymując zarazem naukę praktyczną, szkoła bowiem posiada obok zakładu wylegania i tuczenia drobiu obszerny park przeznaczony na hodowlę.

— Jedną z dwóch pierwszych nagród cnoty Montyona (Prix de vertu) przyznana została przez Akademię Francuską pannie Ludwice Marie, poświęcającej się wychowaniu opuszczonych dziewcząt, których w roku bieżącym utrzymuje w mieszkaniu własnym 30, a z tych najstarsza liczy lat 14. Nagrodę stanowiła summa 2.000 franków (ksiądz Béraud otrzymał 2.500 fr. za wzniesienie własnym staraniem i pracowitym trudem dwóch przytułków dla sierot). W dziale piśmienniczym otrzymało nagrodę cnoty Montyona kobiet pięć, a to: Wice-hrabina Lepic otrzymała 1.000 frank. nagrody za powieść „Przekupień zapalek“ napisaną pod pseudonimem „Gennevraye“. Nagrody po 500 fr. p. Paradowska z domu Gachet za powieść „Demoiselle

Micia“ (drukowana w „Revue de deux mondes“) Melle de Leymont za dzieło „Madame de Sainte Beuve“ i „Urszulanki Paryżkie“: M-me Mesureur za „Historią paryżkiego dziecka“. M-me Craik za życiorys Antoniego Brasseur.

— Kobiety francuzkie wniosły petycję do ministra handlu, domagając się, aby im był dany głos w rzemieślniczych sądach polubownych (conseils de prud'hommes) zwłaszcza, że brak tu kobiet jako biegłych naraża często na stratę kobiety pracujące, ponieważ praca ich pod względem wartości i gatunku wyrobu nie może być kompetentnie oceniona. Liczba zażaleń wnoszonych przed sądy francuzkie co do oceny przedmiotów pracy i umów o takową, niemal równo dotyczy kobiety, jak mężczyzn, więc mają one prawo posiadać tu przedstawicieli własnych. Minister odpowiedział, że prześle sprawę do rozpatrzenia kommissji opracowującej statuta sądów rzemieślniczych, wskutek tego interessantki usiłują wykazać słusność postawionych żądań i stowarzyszenie „Union universelle des femmes“ zebrało się na walne posiedzenie, na którym przedstawiono trzy kandydatki na biegłych, a to: kwaciarkę, właścicielkę składu bielizny i właścicielkę drukarni, obsługiwanej przez kobiety.

— W Berlinie na konferencji stowarzyszeń robotniczych zebrało się 74 delegatów, między którymi było kobiet 9. Uchwalono zupełne równouprawnienie robotnic w stowarzyszeniach robotniczych.

— Anna Marya Manzoni, autorka włoska uznanego talentu, postanowiła wystąpić w rozpoczynających się wyborach do parlamentu włoskiego jako kandydatka na posła. Osobistość jej ma być sympatyczną i cieszy się też ta pani uznaniem kół szerokich w Rzymie; przecież królowa Małgorzata jest mało przychylną tej kandydaturze kobiety. Pragnie ona podnieść i w miarę środków, jakie przedstawia budżet Krolestwa Włoskiego, podnosi przez osobisty w tem współdział wyższe wykształcenie kobiety we Włoszech, ale nie sądzi, aby kobiety potrzebowwały posłować do parlamentu. Prawo raz uchwalone nie mogłoby wyłączać mężatki, a sprawowanie tego urzędu, które na przeciąg czasu dość znaczny, każe posłom z prowincji zjeżdżać do Rzymu, odrywałoby matkę rodziny od domowego ogniska, więc od pieczy nad dziećmi i sprawami gospodarstwa domowego, któremu troskliwie przewodniczyć jest obowiązkiem kobiety, zaciągniętym w dniu, gdy idąca za mąż bierze na siebie odpowiedzialność co do wewnętrznego zarządu domu i wychowywania dzieci. Nawet bogata nie może bez pewnej szkody odrywać się na czas dość długi od przewodniczenia rodzinie, gospodarstwu domowemu, a cóż dopiero niezamożna lub średnio zamożna! Musiałaby stawiać na miejscu swoim w domu odpowiednią zastępczynię, co jest rzeczą kosztowną i nie zawsze możliwą w rodzinach średniozamożnych, więc posłowanie kobiet musiałoby się ograniczyć wyłącznie do sfer dostatnio bogatych, co nie byłoby rzeczą słuszną, a wobec nastroju umysłów we Włoszech nie mogłoby znaleźć uznania.

— Angielska autorka M-rs Bennett-Edwards, ofiarowała 1.000 funt. ster. generałowi Booth, na przedsięwzięte przezeń cele odrodzenia okolic „Najciemniejszych Anglii“ to jest zaułków Londynu, gdzie największa ciemnota umysłów ludzkich łączy się z najciemniejszymi stronami życia. Nazwa ta zastosowana została przez porównanie do Afryki, na oświecenie której, na missye tam wysyłane, Anglia daje miliony, a w domu, tuż pod bokiem reprezentacji narodowej, istnieje straszliwa głębia dusz i ciał. Ofiarodawczyni pisze, że jakkolwiek nie podziela wszystkich zapatrywań się generała w kwestyach społecznych, jednoczy się przeciw w tej, najważniejszej, gdyż jest to obowiązkiem każdego człowieka, tak mężczyzny, jak kobiety, aby na wszelki możliwy sposób usiłował podnieść moralnie społeczeństwo, którego jest członkiem. Pisze też, że trudno jej to zrozumieć aby mogło zbywać generałowi na środkach potrzebnych do tego celu, jak to daje się słyszeć, ponieważ każda czująca i myśląca jednostka ludzka obowiązana jest przykładać się do kosztów takiego przedsięwzięcia, które jasno i wyraźnie

— bezpośrednio stawia sobie za cel umoralnienie ludzi przez rozszerzenie ich wiedzy, podniesienie uczuć religijnych i pojęć moralnych — przez pomoc czynną wydzwignięcia upadłych ponad ciemne przepaści życia, M-rs Bennet-Edwards zwróciła się też przez organa piśmiennicze do wszystkich kobiet angielskich bez różnicy klas, aby wspomaganie działań *Armii Zbawienia* wzięły sobie najpierw za uczynek miłości bliźniego, a następnie miłości Anglii.

— M-rs Ormiston Chant miała w Londynie ciekawy i nauczający odczyt: „Kobiety dzisiaj” (The Women of the Day). Obecnie liczne zastępy kobiet odznaczają się na wszelkich polach użytecznej działalności i pracy społecznej, ale ponad najrozgłośniejszymi jako talent, jako umysł i rozum wyższy, stać będą zawsze te, które poświęciły się pracy najdonioślejszej w zakresie powołania kobiety: które szerzyły światło tam gdzie panują ciemności, które podnosiły umysły w stronę prawdy i cnoty, które świadczyły miłosierdzie. Wymieniając angielskie pisarki zostające w służbie szlachetnych idei i czynnie przykładające się do tego dzieła kobiety filantropki, zaliczyła do ich rzędu M-rs Booth, jako wysoce zasłużoną.

— W Londynie, w centralnym Biurze Telegrafów, znajduje się 1.000 zajętych tam kobiet.

— W Irlandyi zawiązała się przed dwoma laty „Liga Krzyża” to jest stowarzyszenie przeciw pijaństwu, do którego należy 1.500 kobiet. Istnieje 60 prefektur; z tych każda ma pod zarządem swoim 25 kobiet, których obowiązkiem jest nieustające oddziaływanie słowem i czynem przeciw pijaństwu. Bardzo piękny jest wstęp do drukowanej karty obowiązków kobiety w tym dziale pracy społecznej. — „Każda z was, która uratuje od nałogu pijaństwa jednego z ziomeków waszych, da jednego odrodzonego syna matce Irlandyi”.

Z bieżącej chwili.

— Petersburgskie Towarzystwo techniczne ma odbyć próby z latawcami zastosowanymi do celów telegrafowania w nocy. Na powierzchni latawca umieszczona jest lampka elektryczna, złączona drutem z baterią, która będzie dawała krótsze, lub dłuższe światło, z czego utworzy się alfabet telegraficzny. Toż Towarzystwo zamierza urządzić w roku przyszłym wystawę przyrządów do gaszenia ognia, sygnałów, i t. p.

— W wystawie środkowo-azyatyckiej bierze udział rząd bucharski.

— Dzienniki petersburskie donoszą o próbach odbywających się na niektórych kolejach dezinfekcyi wagonów osobowych.

— Warszawska Rada Miejska ma do rozporządzenia trzy nagrody z zapisu ś. p. J. Zacharkiewicza dla lokai za długoletnią służbę w jednej rodzinie. Nagrody są: I-o za lat 20 służby rs. 150, II-o za lat 15 rs. 75, III-o za lat 10, rs. 45. Prośby wnosić można po dzień 17-go Stycznia.

— Oddział Tanich Kuchni ogłasza, że posiłki gorące dla ludności ubogiej, wydawane na miasto w naczyniach przynoszonych, których rozdawnictwo rozpoczęło się od d: 15 Grudnia, a trwać ma po dzień 15 Kwietnia, odbywać się będzie stale we wszystkich trzech Tanich Kuchniach. Por-

cyą kwartowa zup posilnych, gotowanych na mięsie po 5 kop. (10 groszy), czas wydawania od godz. 7-mej do 10-tej rano. Osoby żyjące sobie nabywać marki na ten posiłek z celem rozdawania ich ubogim, nabywać je mogą w bazarze szkolnym p. Holewińskiego na Krakowskiem Przedmieściu wprost Ś-go Krzyża.

— Głos dobrej rady z celem umoralnienia dzieci zamożnych, rozbudzenia w ich sercach poczucia się do braterstwa z ubogim, z wydziedziczonym od losu, odezwał się w pismach naszych z życzeniem, aby zabawki posiadane, a które wkrótce podczas uroczystości *Gwiazdki* zostaną zastąpione przez nowe, odsyłane były przez ich posiadaczy do szpitalika dzieci ubogich. Czyżby przecież nie można tu dodać temu dziecku, którego serce powinno się otworzyć dla uczuć ludzkości, aby powstało tam, nie tylko to, co się przedstawia jako nieużytek wybrakowany — aby podzieliło się z dzieckiem ubogim zabawką nową? Trzeba, aby serca młode otwierały się wcześniej dla uczuć ludzkości, bo mogą stać się twarde i zimne.

— Obywatel Warszawy p. M. sporządził regentalnie akt ostatniej swej woli, którego mocą przeznaczają 25.000 rs. na wzniesienie domu dla sług sędziwych obojga płci, spracowanych wśród ucziwie spełnianych obowiązkach swego zawodu.

— P. Edmund Jankowski rozpoczął w lokalu Towarzystwa Ogrodniczego pogadanki z zakresu owocarstwa, miewane co Czwartek o godzinie 7-iej dla członków Towarzystwa i osób wprowadzonych. P. Franciszek Szanior wygłaszać będzie co Sobota o godzinie 6-iej podobne pogadanki o kwiaciarstwie. Wkrótce p. Józef Kaczyński będzie mówił o warzywnictwie: otwiera się zatem droga bardzo przystępna i łatwa do powzięcia wiadomości bardzo potrzebnych kobiecie, szczególnie zamieszkującej wieś, lub kształcącej się do pracy na wsi.

— Zarząd Towarzystwa Ogrodniczego ogłasza dwie nagrody: po 100 i 75 rs. dla ogrodników za długoletnią uczciwą pracę w jednym miejscu. Świadectwa pracodawców, poświadczone przez dwie osoby zamieszkałe w pobliżu powinny być nadesłane przed końcem bieżącego miesiąca do kancelaryi Towarzystwa (Chmielna N-r 14).

— Wyboru pism Syrokomli wyszły dwa ostatnie tomy: IV i V. Przypomnieć sobie należy, że wydanie to jest na korzyść niezamożnej rodziny pozostałej po poecie, lecz, biorąc nawet rzecz bezwzględnie, zbiór ten przedstawia bardzo, bardzo dobrą *gwiazdkę* dla osób, które nie posiadają poprzedniego wydania. Dobrze jest, aby promyk *gwiazdki* był promykiem poezyi. Wydanie Gebethnera i Wolffa.

— Biblioteki dla samouków, wychodzącej nakładem Gebethnera i Wolffa wyszedł tomu IV-go zawierający „Literaturę Polską” w opracowaniu Adama Brezy — zeszyt 17. Mieści się tam: „Ogólny pogląd na piśmiennictwo obce XVI wieku.”

— Dr. Antoni J. (Rolle), wydał nową seryą „Opowiadań Historycznych”. Mieści się tam: „Zdrada Kamieniecka”, przedmiot, który posłużył za temat 3 tomu „Pana Wołodyjowskiego”, „Zakładnicy Lwowscy” rzecz z tychsamych czasów, „Spuszczona po księciu Nassauskim”, „Spuszczona po Humieckim”, „Beatrice”, „Babka poety”, „Fatyma” (szczegóły dotyczące Zygmunta Krasińskiego).

— Adwokat Parczewski z Kalisza łączy się z wyprawą, która zawiązała się we Lwowie, dla zbadania stosunków brazylijskich. Należą do niej pp. Szczepanowski, prof. Siemiradzki, St. Kłobukowski i Sikorski. Tytu ludzi i to ludzi umiających patrzeć na rzeczy, przedstawi pod wielu

względami zbadany obraz rzeczywistego stanu tej smutnej rzeczy.

— Na dorocznym posiedzeniu członków krakowskiej Akademii Umiejętności wybrano na członków czynnych miejscowych: Wł. Łozińskiego i Dr. Wł. Zajczkowskiego, na członka korespondenta Dr. M. Kawczyńskiego. Czynnymi członkami zagranicznymi zostali: Wł. Spasowicz, Pasteur, Virchow, Schiaparelli (z Medyolanu) Thomson (z Glasgowa). Sędziwy prezes Akademii Meyer poraz ostatni zajął posiedzenie tej instytucji, gdyż wiek sędziwy — 83 lat, domaga się już spoczynku, którego zapragnął. Odpowiedział mu prof. Morawski i wniósł, aby na znak wdzięczności za długoletnią służbę obywatelską zacnego starca Akademia utworzyła wieczystą fundacyą jego imienia. Fundacya ta będzie przyznawać co lat dwa nagrody za prace naukowe, kolejno z zakresu nauk przyrodniczych i wyzwolonych. Przyznawać je będzie Meyer, a po jego zgonie Akademia; to samo powtórzy się i co do zadawania tematów konkursowych. Professor St. Tarnowski został obrany prezesem Akademii, St. Smolka zajął z kolei zajmowane przez Tarnowskiego miejsce sekretarza Akademii.

— Dymissyi Matejki z dyrektorstwa szkoły Sztuk Pięknych nie przyjęto w ministerium i tylko dano mu dłuższy urlop. Minister Gautsch pisał do artysty własnoręcznie, odwołując się do jego uczuć obywatela i artysty zażądał, aby nie usuwał się ze stanowiska, na którym oddaje sztuce wysokie usługi.

— Na krakowskim i lwowskim uniwersytecie mają powstać kassy pożyczkowe dla studentów chorych.

OD WYDAWCY.

„Bluszc” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Korespondencya.

W. Janinie N. D. O nadesłaniu rękopismu prosimy; — co do wydrukowania odpowiemy po przeczytaniu.

Do dzisiejszego numeru dołącza się prospekt „Bluszc” na rok 1891.

Do dzisiejszego numeru „Bluszc” dołącza się dla wszystkich prenumeratorów prospekt na dzieło: „Człowiek, Jego pochodzenie i rasy”.

Do dzisiejszego numeru „Bluszc” dołącza się Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevenson, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Pogawędka. — Sen wigilijny. — Hrywda. Powieść przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Z działu przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć nukowych, przez Dr. Józefa Starkmana. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevenson, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 31 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.



Nr 1. Suknia dla panienci od 7-9 lat (do ryciny Nr 15). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 56-64).

Nr 2. Suknia z aksamitu i kasmiru haftowanego (do ryc. Nr 20 w Bl. Nr 52).

Nr 3. Paltot z pluszu i jedwabnego materyalu „broché“ (Opis pier. str. tabl.).

Nr 4. Suknia dla młodej osoby (do ryc. Nr 17). Opis pierw. str. tabl.

Nr 5. Bluzka z atlasu „merveilleux“ (Kr. odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 44-55).

Nr 6. Suknia ozdobiona pasmanterya z turkusami (do ryc. Nr 16). Op. pier. str. tabl.

Nr 7. Suknia z jedwabnego materyalu.

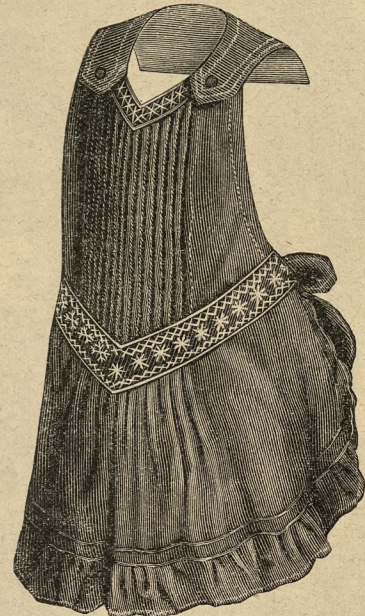
Nr 8. Suknia dla panienci od 5-7 lat. (Kr. i opis pier. str. tabl. Nr III, fig. 21-20).

PRZEGLĄD MÓD.

Karnawał. — Czem się ubierają balowe suknie, koronki i falbany. — Objętość spódnic. — Co noszą na głowę męzaki. — Ubiorki zwane „nie“ u pani Bosz. — Rękawiczki. — Zastonki na lampę z bibułki. — Podstawy mosiężne do nich u p. Junga, Mazowiecka 5.

Niespełna 10 dni dzieli nas od kalendarzowego karnawału; są ludzie, którzy cały okrągły rok karnawalują, ale dla tych niepotrzebne są moje sprawozdania. Czy się w tym roku w owe uprzywilejowane sześć tygodni bawić będą czy nie, niewiem, ale sądząc z lat ubiegłych pomimo narzekania na ciężkie czasy bawiono się wybornie, więc być może, że i w tym roku przez wzgląd na młodzież znowu się bawić będą, zatem trzeba wiedzieć jak się do tańca i na wieczory ubierać. Suknie lekkie do tańca są mało powłóczyste, nigdy jednak krótkie, dla męzatek zaś cięższe czy to jedwabne czy też fantazyjne, są zawsze z bardzo miernym trenem od 20 do 25 cent. najwyższe. Wszystkie suknie balowe i wieczorowe garniurują się w dole i to jest prawdziwą nowością obecnie chwili koronką marszczoną na 6 do 10 c. szer. lub wolantem z tegoż co i suknią materiału, jeżeli to suknią lekką, przy cięższych jedwabnych niema to miejsca, Koronka lub też prosta draperyja wązka przyszywa się w dole jak falbana, albo w formie lambrekina, podpinając kokardami lub małemi tuffami wstążek przyczepionych gdzieniegdzie. Tył sukni zdobia szarfę z wstążek, koronek zeszywanych itp. stanik zaś, szelki z wstążki i gorseciki krótkie. Duże kołnierze okrywające zupełnie szyję i sięgające aż do stanu, pelerynki z grubej szarej gipiury bez podszycia ze stojącym kołnierzem, podszytym w górze piórami, są bardzo modne. Wogóle koronki i falbany z „crêpe-lisse“, czy też muslinu indyjskiego są bardzo w modzie, z nich też urządzają plastrony, pelerynki, żaboty a nawet gorseciki oznaczone na staniku. Guipiura jest tak noszona, że nawet całe spódnice z niej robią, zostawiając tylko tylny bryt bez pokrycia. Wogóle wolanty tiulowe i koronkowe są bardzo przyjęte, na wszelkiego koloru sukniach jasnych, nawet białych się naszywają gładko, lub jak wyżej powiedziałam w festony lambrekino- we. Wogóle dodać należy, że suknie są już mniej obcisłe, mniej płaskie, to jest, że pod obwodem nieco szerszym czuć coś co je podtrzymuje jakąś spódniczką sztywniejszą, niema tu jeszcze mowy o krenolinie ani turniurze, ale nie należy już do pierwszej mody wyglądać jak futerał równy a płaski.

Zapytana listownie czy męzaki noszą zawsze pióra na głowie do strojnieszego ubrania, odpowiadam, że starsze panie naturalnie pióra, młodsze zaś noszą jakies nic, co się zowie ubieraniem a co w tysiącnych odmianach widzieliśmy w znanym z wykwinetnego gustu magazynie pani Bosz, Wierzbowa 2, półlokcja złotej lub stalowej koronki, egretka, kawaleczek to jest lepek od piórka strusiego, jeden pukel wstążki, kawalek pasmanteryi lub coś podobnego składają się na takie „nie“, a jakie to ładne, jakie powabne, wpięte w utrefone przez pana Eugeniusza lub Teofila włosy, o których nowych



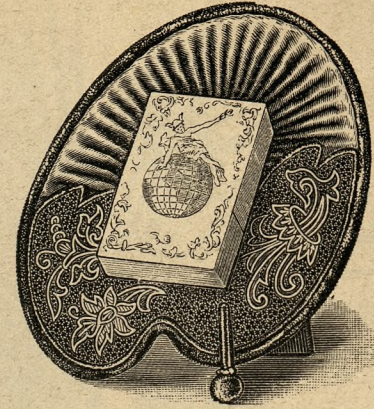
Nr 14. Faireszek dla panienki od 7-9 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 30-32).



Nr 18. Suknia wieczorowa dla młodej osoby.



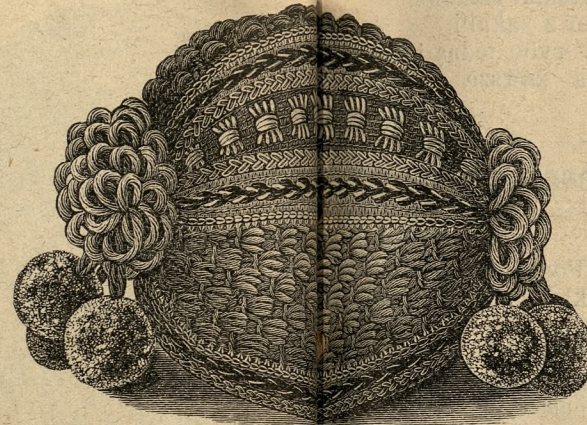
Nr 10. Postumencik do kalendarza.



Nr 9. Część szelki do kominka (ścig płaski i „peting-point“).



Nr 11. Wieszadło do kluczyków.

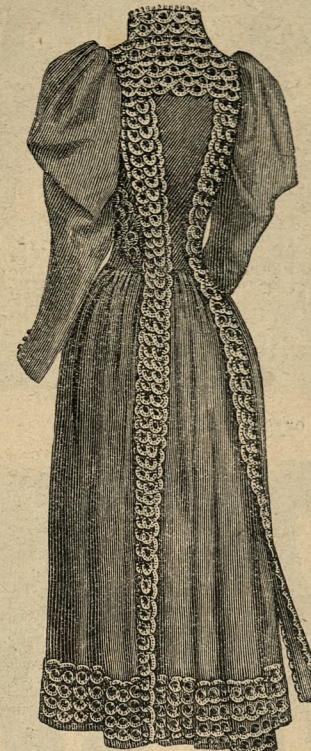


Nr 12. Poduszka (robota szydełkowa). Krój pierw. str. tabl.



Nr 13. Część szelki do kominka (ścig płaski i „peting-point“).

dam; wogóle noszą się rękawiczki glansowane a w tych wszelkie kolory skóry czy to ciemniejsze czy jaśniejsze pasują do każdej toalety. Owych ponsowych do ponsowej, zielonych do zielonej, niebieskich do niebieskiej sukni nie nosi się już dość dawno, do bia-



Nr 17. Suknia dla młodej osoby (do ryciny Nr 4). Opis pierw. str. tabl.)

łych fularowych bardzo używanych na wieczorne zebrania, koncerta i teatru nosi się perłowe lub białe; pierwsze noszą wyszyte czarno, ale że to pogrubia rękę i jest nieestetyczne, więc prawdziwie eleganckie damy tych nie używają. Do negligowej toalety i rannych wizyt zawsze są używane duńskie, bo jakżeby bez nich się obejść. Do wielkiej mody chwili obecnej należą zastonki „abat-jour“ z cienkiej gniecionej bibułki na podstawie mosiężnej. Sposób roboty tych zastonek podaliśmy w zimowym sezonie w piśmie naszym a powtórzyliśmy go w Koledzie na rok 1891, tam więc odsyłamy czytelniczki, bo tam nawet połączenie kolorów jest podane. Trudność cała leżała w tem, że jeden tylko sklep posiadał te podstawy dotąd biorąc bajeckie za nie ceny, obecnie pan Jung właściciel składu blacharskiego, Mazowiecka 5, wyrabia takie lepiej jeszcze odrobione po rs. 1 za sztukę. Łatwa to i miła robota na długie wieczory a zrobiona zastonka będzie słodkim podarkiem na gwiazdkę.

L. C.

Bluzka z atlasu „merveilleux“.

Rycina Nr 5. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 44-55).

Bluzka z atlasu „merveilleux“ koloru ponsowego. Skrajac z podszywki fig. 44, 46 do 48; z materiału fig. 45-47, 50 i 54 po dwie części. Fig. 45 z uwzględnieniem konturu lewego przedniego brzegu, fig. 49, 51 i 52 po jednej części; fig. 55 dwie części złożone wzdłuż środka. Po wykonaniu zaszepek w przednich częściach z podszywki, ułożyć podług wskazówek w fałdy materiał, trafiając każdy $\frac{1}{2}$ na kropkę. Prawy przedni brzeg wyłożyć wzdłuż pierwszej linii zgięcia. Zmarszczyć wycięcie szyi aż do $\frac{1}{2}$, dopasować do podszywki, przednią część zaopatrzyć w dziurki i guziczki do zapinania i przyfastrygować pasek od kropki do kropki. Następnie ułożyć fałdy fig. 49 trafiając każdy $\frac{1}{2}$ na kropkę, przymocować do pleców z podszywki zeszytych od 27 do 28 i połączyć podług cyfr plecy, boczki i przednie części. Kołnierz i pasek przyszyć zaopatrzyć podkładem z podszywki a zeszyć od 31 do 32, wszyć w bluzę od 27 do 33. Następnie skrajac z podszywki i materiału fig. 53 z uwzględnieniem wystających konturów.

Nr 15. Suknia dla panienki od 7-9 lat (do ryc. Nr 1). Kr. i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 56-64.

W fig. 54 ułożyć fałdy trafiając każdy $\frac{1}{2}$ na kropkę, zeszyć części od 34 do 35 wzdłuż linii z rękawami, umocować $\frac{1}{2}$ oznaczone lit. a b na odpowiednich kropkach. Połączyć rękawy od 36 do 37, dolny brzeg zmarszczyć od kropki do kropki i ozdobić mankietami. Górny brzeg zmarszczyć od * do * i od kropki b do dwukropka i wszyć trafiając w 37 na 37.

Suknia z materiału jedwabnego.

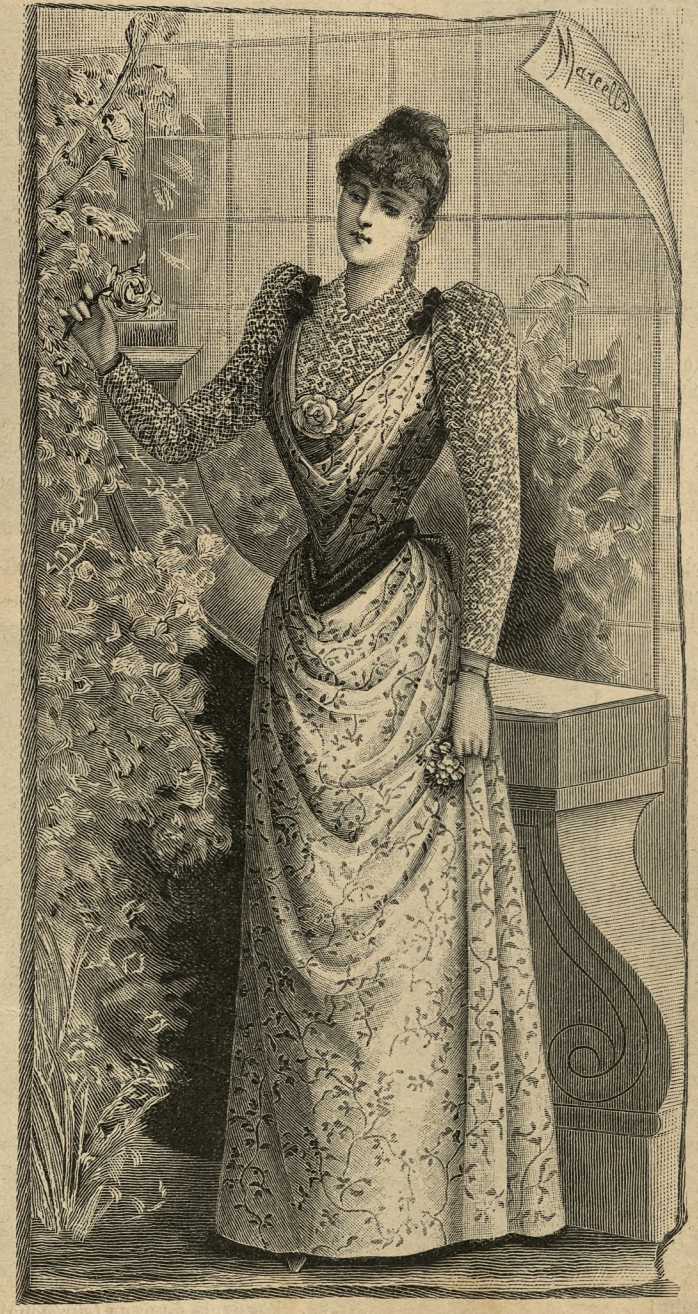
Rycina Nr 7.

Suknia z materiału jedwabnego koloru „heliotrop“ w rzućane grochy, złożona z spódnicy i wetmanu zapinanego w tylnej części. Pasmanteryja z perełek i napiersnik z białej krepki ułożony krzyżowo, wykończa całość.

Poduszka czyli wałek (robota szydełkowa).

Rycina Nr 9 i 12. (Krój pierw. str. tabl. Nr V, fig. 33).

Pokrycie wałka składa się z 6 części skrajanych podług fig. 33 i wykonanych szydełkiem grubą włóczką rodzaju męskiego netańskiego na-



Nr 19. Suknia wieczorowa dla młodej osoby. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 34-43).

